

Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
81-100 Toruń, ul. Podmurowa 93, tel. 0048 56 65 22 186
e-mail: fundacja@wp.pl, archiwum@wp.pl
NIP 956 325 736, KRS 000007050736
Nr r-ku 82 1090 1556 6500 6000 5002 0244

poprzedni nr H: 12



Syn:
Maksymilian Grefkowiec
87-603 Coarne
(ojc. Wielgie)

Lipno
POZ - ZWZ - AK
++ Grefkowiec Zygmunt
ps. "Lis"
"Chudziński"
H: 12/621 Pom.

SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI

Prof. Kociuszka Zygmunt
J: M-121621 Bonu.
Lipno 902-202-AR

I./1. Relacja k. 50 s. 1-50

I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora —

I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora k. 1 s. 1

II. Materiały uzupełniające relację k. 2 s. 1-3

III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora —

III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) k. 8 s. 1-8

III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 —

III./5. Inne ... —

IV. Korespondencja

1) z E. Zawacką k. 3 s. 1-4

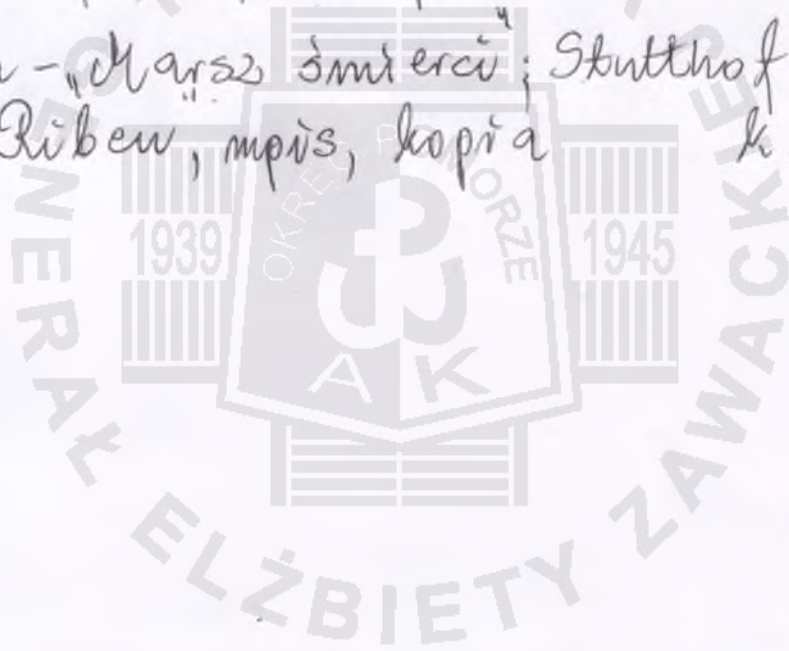
2) z G. Olszewskim k. 1 s. 1-2

V. Nazwiskowe karty informacyjne k. 18

VI. Fotografie dwa ikonografii

1/1. Relacja - Grafkowa Sigmund:

1. Relacja - "Kwotera", mpis k. 6 s. 1-6
2. Relacja - "Kwotera", kopia I, II, III, mpis z 1978 i 1984 k. 6 s. 7-12
3. Relacja - "Seu", mpis k. 5 s. 13-17
4. Relacja - "Seu", kopia I dostarczona przez H. Augustowskiego (olot. obóz w Stutthofie) mpis kop. k. 5 s. 18-22
5. Relacja - "Marsz śmierci"; Stutthof i drze, Riben, mpis, kopia k. 28 s. 23-50



K w a t e r a

Wczesną wiosną 1942 r. łącznik Komendy Okręgu Z.W.Z. zgłosił się do mnie z nieznanym mi mężczyzną w średnim wieku z rozkazem przetrzymania go przez okres jednego tygodnia. Były na terenie naszej placówki trzy kwatery stałe, ale do dyspozycji Szefa Sztabu i Szefa Łączniści i Dywersji okręgu. Obaj kwaterowali w tym czasie na terenie placówki, a i ta ~~ta~~ trzecia, rezerwowa, była zajęta. Mieszkałem w środku wsi. Chociaż w naszej wsi, za wyjątkiem trojhendera majątku, Niemców nie było, jednak częste wizyty osób obcych w moim domu nie uszły napewno uwadze sąsiadów. Nie było jednak innej rady. Postanowiłem zakwaterować go u siebie. Mieszkałem razem z rodzicami, oraz żoną i trojgiem małych dzieci. Kobiety i ojciec ofiejalnie nie wiedzieli o mojej przynależności do organizacji Ruchu Oporu, ale się donyślali. Szczególnie matka bała się o mnie. Miała zresztą doświadczenie z pierwszej wojny światowej z pracy w P.O.W. Miejsce placówka P.O.W. przystąpiła o trzy tygodnie wcześniej do rozbrajania Niemców. Łącznik, odwołujący rozkaz rozbrajania Niemców nie dotarł na czas i dokonano napadu na miejscowych żandarmów w obrębie naszego gospodarstwa. Zostali oni rozbrojeni, jeden został zabity, a drugi raniony uciekł. Rodziców i brata ~~zre-~~ sztowali, ojcu i bratu groziła śmierć.

Po przybyciu do nas wspomnianego gościa, matka w nocy czuwała. Przybył do nas w środę. W czwartek rano matka mówi mi, że w nocy był ktoś pod oknem. Nie wierzyłem, sądząc, że to na skutek przewrażliwienia matki tak się jej wydawało, na wszelki jednak wypadek ugrałem wieczorem ziemię pod oknem żelaznymi grabkami. Rano pod oknem były ślady stóp.

Wieczorem przyszedł do mnie podporucznik rezerwy Olak Antoni, przewidziany w naszej placówce na dowódcę kompanii na wypadek zbrojnego wystąpienia. Żona jego, ~~angedojczka~~ ^{polka} pochodziła z Wejcherowa, gdzie wszyscy Polacy deklarowali się na angedojezy. Takie zresztą były zalecenia organizacji podziemnych. W związku z tym miała zaufanie u Niemców, była sekretarzem w gminie, miała dostęp nawet do tajnej korespondencji, a równocześnie była naszym konfidentem. Ostrzegła nas, że przez cały bieżący tydzień wszelkie małe uczęszczane drogi i ścieżki polne będą strzeżone a w niedzielę będą przeprowadzane rewizje u wszystkich Polaków, celem wykrycia osób, ukrywających się. Tera zrozumiałem, dlaczego

przysłano mi tego pana. Wywiad Okręgu też wiedział napewno o wspomnianym zarządzeniu okupanta. Musiałem szukać innej kwatery dla naszego gościa, tymbardziej, że obawy matki okazały się uzasadnione.

Półtora kilometra odemnie mieszkał nasz członek Zabłotowicz Roman, plutonowy rezerwy. Służbę czynną pełnił w kompanii reprezentacyjnej Wojska Polskiego. Jako małorolny dorabiał przed wojną furmaństwem, a więc miał parę dobrych koni. W placówce pełnił funkcję łącznika do dyspozycji szefa sztabu i szefa łączności Komendy Okręgu Pomorze, kwaterujących na terenie naszej placówki. Jeździł z nimi furmanką na dalsze odległości. Był owdajny. zdyscyplinowany. Gospodarstwo jego było położone tuż przy kolonii miejscowych folksdojczy. Zdecydowałem jednak mego gościa posłać do Zabłotowicza. W piątek rano posłałem do niego łącznika, Baranowskiego Edmunda, ps. "Kruk" z zapytaniem, czy będzie mógł zakwaterować u siebie mego gościa do poniedziałku, bo w poniedziałek jedna z kwater miała być zwolniona. Zabłotowicz zgodził się.

Gościem tym, jak się po wojnie dowiedziałem, był Szczygielski Józef, kurier Komendy Okręgu Pomorze, wysłany z ważnym meldunkiem do Komendy Głównej. Na skutek wzmożonej czujności Niemców był skierowany na okres jednego tygodnia do nmie

W piątek wieczorem ten sam łącznik przeprowadził polami p. Szczygielskiego na nową kwaterę. W niedzielę były rzeczywiście przeprowadzane rewizje we wszystkich polskich domach. U mnie przeszukali dom, zabudowania gospodarcze.

Po południu w niedzielę udałem się do Zabłotowicza. Zabłotowicz ze Szczygielskim siedzieli przy stole i grali w tyśiąca. Na zapytanie, jak poszło, Zabłotowicz ppowiada:

W piątek wieczorem Zabłotowicz spuścił psy z łańcuchów, chcąc się zabezpieczyć przed niespodziewanym najściem Niemców. / Według zarządzenia okupanta psy w gospodarstwach polskich miały być uwięzrównież i w nocy/ Gospodarstwo jego jest położone około 100 m. od szosy. Około północy słyszy energiczne pukanie do drzwi. Wstał, do mieszkania dobijają się Niemcy, miejscowi folksdojczy. Nie chce otworzyć, motywując tym, że żona jest chora. /chorowała rzeczywiście na serce, o czym Niemcy wiedzieli./ Gdy jednak dobijali się dalej, gotowi wyważyć drzwi, otworzył, ale stanął w progu z siekierą w ręku

- Wejdziecie dalej, ale po moim trupie. Wiecie, że żona

jesz chora, przestraszy się, może być nieszczęście -
Nie weszli dalej.

- Dlaczego psy spuszczone? - zapytali.

- Ja ich nie spuszczałem, same się urwały -

- To powiaż - rozkazali i pojechali.

W niedzielę wstali o szóstej. Zabłotowicz poszedł w podwó-
rze oprzątać inwentarz, Szczygielski za nim. Psy zaszcze-
kały, Zabłotowicz wyszedł na podwórze, pełno Niemeów na rowerach.
Miejscowi folksdojce.

- Sąsiad, daj widły, będziemy u ciebie przeprowadzać rew-
izję, czy czasami nie przechowujesz polskich bandytów. -

Zabłotowicz wszedł do obory po widły, Szczygielskiego nie
było. Dał im widły, weszli do stodoły, przetrząsnęli słomę
w sąsiekach, wchodzą do obory. Zabłotowicz czeka na podwórzu
Słyszcy, że grzebią pod korytami, weszli na ~~stych~~ strych, prze-
trząsnęli siano, wreszcie wychodzą. Wsiedli na rowery, odje-
chali. Zabłotowicz wszedł do obory.

- Panie, gdzie pan jest, odjechali. -

Szczygielski podnosi plewami pokrywę skrzyni do obroku,
wychodzi cały oblepiony plewami sieczką, tam się schował.
Szezęście, że nie sprawdzali, z czego rżnięta sieczka.

Wrócili do domu, jedzą śniadanie w kuchni. Znow psy za-
szcze-kały. Gospodarz wychodzi na podwórze, kilku Niemeów w
czarnych mundurach SS, zajechali samochodem. Na podwórzu był
syn jego, 14 letni. Nie ukłonił im się i dostał parę razy po
głowie, co ich chwilę zatrzymało. Nie patrząc na gospodarza
wchodzą do domu, Zabłotowicz za nimi. Przechodzą przez kuch-
nię do pokoju. Firanki na oknie nie poruszone, okno zamknię-
te, musi być wewnątrz. Do pokoju były tylko jedne drzwi z ku-
chni. Grzebią w łózkach, w szafie, wreszcie wychodzą. Samo-
chód zawarezał, odjeżdżali.

- Panie, gdzie pan jest, pojechali. -

Szczygielski z trudem gramoli się spod łózka. Łóżko drewnia-
ne, na bardzo niskich nogach. Pod łóżkiem niska, pleciona z
białej wikliny walizka. Weisnął się pod łóżko, tą walizką się
jeszcze zasłonił.

Po wysłuchaniu tej opowieści dziękuję Zabłotowiczowi za wy-
konanie zadania i oświadczam, że jutro przychodzi łącznicz-
ka, aby jego gościa przeprowadzić do zwolnionej już bezpiecz-
nej kwatery. Zabłotowicz nie chce się zgodzić.

- Jak był tak długo, niech będzie dalej, dopuki nie otrzyma rozkazu wymarszu.-

Trudno, mając wolną, bezpieczną kwaterę, nie mogłem narażać obydwoh, a szczególnie chorej kobiety i dzieci.

- Panie Eomanie, to rozkaz. -

- Tak jest - odpowiedział.

Nie doczekał jednak wolności. W grudniu 1944 r. oddział A.K. dokonał zamachu na groźnego w naszej okolicy folksdojca Biegałkę Roberta z Lenia. Został zastrzelony. Przypuszczałem w początku, że to był wypadek niepotrzebny. Za miesiąc nasze tereny były już wolne. Sprawę wyjaśnił mi uczestnik z tej akcji Pączkowski z Dobrzynia, który był wtedy w obstawie wokół zabudowań Biegałki. Biegałko odgrażał się, że jak przyjdzie im opuszczać te tereny, wszystkich Polaków wystrzelają. To potwierdzają i inni, m. in. Augustowska Genowefa z Dobrzynia. Celem tej akcji było zastraszenie Biegałki, że jeżeli będzie szkodził Polakom, zginie. Miał dostać porządne baty i ostrzeżenie. Do mieszkania Biegałki wszedł pierwszy Macialiewicz Lucjan z karabinem gotowym do strzału. Na rozkaz "Hände hoch" Biegałko nie podniósł rąk do góry, lecz sięgnął do kieszeni. Nie było wyjścia. Musiał paść strzał. Niemcy, zgodnie z ich zasadą, aresztowali dziesięciu Polaków z okolicznych wiosek. Na liście wytypowanych do aresztowania Zabłotowicza nie było. wynika z powyższego, że mimo aktywnej działalności Zabłotowicza w ruchu oporu, Niemcy nie podejrzewali go o wrogą działalność. Gdy jednak jeden z listy uciekł, dokooptowali Zabłotowicza. Zostali oni pomordowani w dniu 18 grudnia w lasku Łagiewnickim koło Chalina.

Po powrocie z obozu starałem się ustalić bliższe szczegóły tego mordu. Nie udało mi się wtedy. W ubiegłym roku, pisząc kronikę Koła Z.R.O.W.i D. w Doorzyniu nad Wisłą powróciłem do tej sprawy. Na mogile pomordowanych w lasku Łagiewnickim jest tablica pamiątkowa. Zarówno nazwiska pomordowanych jak i data mordu nie są zgodne z prawdą. Na tablicy umieszczono nazwisko jednej kobiety, zginęli tam jednak sami mężczyźni. Data, m-c październik, też nie jest zgodna. Udało mi się skontaktować z bezpośrednim świadkiem tego mordu. Jest nim Chyla Juliusz, zamieszkały wtedy w Płonczyźnie. Był on w tym czasie wywieziony na przymusowe roboty do budowy umocnień nad Drwęcą. W sobotę, 17 grudnia przyjechał

do domu, a w niedzielę odwiedził narzeczoną, zam, w Chalini. Datę pamięta, bo to była ostatnia niedziela przed świętami Bożego Narodzenia. Kiedy wieczorem miał odejść do domu, matka narzeczonej ostrzegała go, żeby nie chodził, bo w Chalini pełno Niemców. Ponieważ w poniedziałek rano musiał odjechać do pracy, zdecydował uduć się do domu drogą okrężną poza jeziorem przez Łagiewniki. Kiedy dochodził do lasu Łagiewnickiego, usłyszał za sobą rozmowę nadjeżdżających na rowerach Niemców. Skrył się w krzakach przy drodze. Wkrótce za rowerzystami nadjechała furmanka konna, konwojowana przez Niemców. Na furmance tej siedziało kilkunastu mężczyzn. Domyślał się, że są to Polacy, skazani na śmierć. Szedł lasem równoległe do furmanki w bezpiecznej odległości. Na górze całej konwoji i furmanna zatrzymały się. Podezował się, jak mógł najbliżej. Niemcy rozkazali skazanym zejść z wozu, rozwiązali im ręce i polecili kopać doły. Stary, chorowity rolnik Włodarczyk z Chalini nie mógł kopać nawpół zmarzniętej ziemi. Niemcy zaczęli go bić kolbami od karabinów. w tym czasie jeden ze skazanych poderwał się do ucieczki. Niemcy zaczęli strzelać za nim. Po trzech strzałach upadł. Pozostali wykopali doły. Następnie Niemcy kazali im się rozebrać do naga i mordowali, bijąc kolbami karabinów i szpadlami. Nie strzelali. Julek poszczególnych twarzy nie mógł rozpoznać, ponieważ było ciemno. Była godzina 19.30.

Feliks Kłobukowski z Dobrzynia, zamieszkały wtedy w Kol. Chalini, w pobliżu lasu Łagiewnickiego, wracał w tym dniu przed godz. 20-tą do domu. Przy drodze, skręcającej do Łagiewnik, zatrzymał go żandarm z Dobrzynia i kazał iść z sobą drogą w las w kierunku Łagiewnik. Kłobukowski się przeraził i zaczął się tłumaczyć, że musi wracać do domu, bo konie pozostawił w stajni nie rozebrane z uprzęży, mogą się poplątać i porwać uprzęż. Wtedy żandarm mówi do niego:

- Masz konie w uprzęży, to idź, załóż do woza i zaraz tu przyjeźdź -

Feliks wykonał polecenie, a gdy nadjechał, żandarm kazał mu poczekać, a sam pojechał w kierunku Łagiewnik. Po pewnym czasie wrócił, eioząc na wozie ubrania pomordowanych. Kazał Kłobukowskiemu wejść na wóz i jechać z nim do majątku Chalini. zajechali w podwórze pod magazyn. Ubrania wyładowali do magazynu. Kazał mu wracać do domu, upominając:

- Pamiętaj, nie widziałeś, bo ... i wynownym ruc^hem wskazał na kaburę pistoletu.

Kłobukowski zawrócił do domu. Za podwórzem obejrzał się do tyłu. Na wozie pozostała czapka. Poznał, że była to Włodarczyka. Wyrzucił ją za płot w krzaki.

W lasku łagiewnickim zostali pomordowani:
Agaciński Edmund, Kempński Stanisław, Lewandowski Feliks,
Mync Kazimierz, Nowakowski Feliks, Portalski Ludwik, Rutkowski Bronisław, Rutkowski Józef, Włodarczyk Piotr,
Zabłotowicz Roman.

Kiedy po wyzwoleniu wiosną 1945 r. dokonano ekshumacji zwłok, głowy pomordowanych były porozcinane szpadlami i posinione od uderzeń kolb od karabinów. Feliks Lewandowski miał połamane ręce i palce od rąk. Musiał się chyba bronić.



Wopie I

- 1 -

Relacja Zygmunta z Gref Kowarski
Kwartał plac Chalim obw. Lipno

K w a t e r a

✓ Wczesną wiosną 1942 r. łącznik Komendy Okręgu Z.W.Z. zgłosił się do mnie z nieznanym mi mężczyzną w średnim wieku z rozkazem przetrzymania go przez okres jednego tygodnia. Były na terenie naszej placówki trzy kwatery stałe, ale do dyspozycji Szefa Sztabu i Szefa Łączności i Dywersji Okręgu. Obaj kwaterowali w tym czasie na terenie placówki, a i ta trzecia, rezerowa, była zajęta. Mieszkałem w środku wsi. Chociaż w naszej wsi, za wyjątkiem trojshendera majątku, Niemców nie było, jednak częste wizyty osób obcych w moim domu nie uszły napewno uwadze sąsiadów. Nie było jednak innej rady. Postanowiłem zakwaterować go u siebie. Mieszkałem razem z rodzicami, oraz z żoną i trojgiem małych dzieci. Kobiety i ojciec oficjalnie nie wiedzieli o mojej przynależności do organizacji Ruchu Oporu, ale się domyślali. Szczególnie matka bała się o mnie. Miała zresztą doświadczenie z pierwszej wojny światowej z pracy P.O.W. Miejscowa placówka P.O.W. przystąpiła o trzy tygodnie wcześniej do rozbrajania Niemców. Łącznik, odwodzący rozkaz rozbrajania Niemców nie dotarł na czas i dokonano napadu na miejscowych żandarmów w obrębie naszego gospodarstwa. Zostali oni rozbrojeni, jeden został zabity, a drugi ranny uciekł. Rodziców i brata aresztowali, ojca i brata groziła śmierć.

Po przybyciu do nas wspomnianego gościa, matka w nocy czuwała. Przybył do nas w środę. W czwartek rano matka mówi mi, że w nocy był ktoś pod oknem. Nie wierzyłem, sądząc, że to na skutek przewrażliwienia matki tak się jej wydawało, na wszelki jednak wypadek ugrałem wieczorem ziemię pod oknem żelaznymi grabkami. Rano pod oknem były ślady stóp.

V+H
Wieczorem przyszedł do mnie podporucznik rezerwy Olak Antoni, przewidywany w naszej placówce na dowódcę kompanii na wypadek zbrojnego wystąpienia. Żona jego pochodziła z Torunia, a przed wojną pracowała jako nauczycielka w Wejherowie, gdzie skąd zaraz na początku wojny uciekli do rodziny w Bendzeniu pow. Lipno. Olak Ludwika znała dobrze język niemiecki i pracowała w Urzędzie Gminy Chalim. Miała zaufanie u Niemców, miała dostęp nawet do tajnej korespondencji, a równocześnie była naszym konfidentem. Ostrzegła nas, że przez cały bieżący tydzień wszelkie małe uczęszczane drogi i ścieżki polne będą strzeżone, a wriedziele będą przeprowadzane rewizje u wszystkich Polaków, celem wykrycia osób ukrywających się. Teraz zrozumiałem dlaczego przysłał mi tego pana. Wywiad Okręgu też wiedział napewno wspomnianym zarządzeniu okupanta. Musiałem szukać innej kwatery dla naszego gościa, tym bardziej, że obawy matki okazały się uzasadnione.

Półtora kilometra odemnie mieszkał nasz członek Zabłotowicz Roman, plutonowy rezerwy. Służbę czynną pełnił w kompanii reprezentacyjnej Wojska Polskiego. Jako małorolny dorabiał przed wojną furmaństwem, a więc miał parę ~~koni~~ dobrych koni. W placówce pełnił funkcję łącznika do dyspozycji szefa sztabu i szefa łączności Komendy Okręgu Pomorze, kwaterujących na terenie naszej placówki. Jeździł z nimi furmanką na dalsze odległości. Był odważny, zdyscyplinowany. Gospodarstwo jego było położone przy kolonii miejscowych Volksdeutchy. Zdecydowałem jednak mego gościa posłać do Zabłotowicza.

✓44 W piątek rano posłałem do niego łącznika - Baranowskiego Edmunda, ps. "Kruk" z zapytaniem, czy będzie mógł zakwaterować u siebie mego gościa do poniedziałku, bo w poniedziałek jedna z kwater miała być zwolniona. Zabłotowicz zgodził się.

Gościem tym, jak się dowiedziałem po wojnie, był Szczygielski Józef, kurier Komendy Okręgu Pomorze, wysłany z ważnym meldunkiem do Komendy Głównej. Na skutek wzmożonej czujności Niemców był skierowany na okres jednego tygodnia do mnie.

W piątek wieczorem ten sam łącznik przeprowadził polami Szczygielskiego na nową kwaterę. W niedzielę były rzeczywiście przeprowadzone rewizje we wszystkich polskich domach. U mnie przeszukali dom, zabudowania gospodarcze.

Po południu w niedzielę udałem się do Zabłotowicza. Zabłotowicz ze Szczygielskim siedzieli przy stole i grali w tysiąca.

/-/ Zygmunt Grefkowsic 21 78

Kopia II

- 1 -

Relacje z Grefkavone
Kmothe plac Chalin obs. dyplno
9

K w a t e r a

Wczesną wiosną 1942 r. łącznik Komendy Okręgu Z.W.Z. zgłosił się do mnie z nieznanym mi mężczyzną w średnim wieku z rozkazem przetrzymania go przez okres jednego tygodnia. Były na terenie naszej placówki trzy kwatery stałe, ale do dyspozycji Szefa Sztabu i Szefa łączności i Dywersji Okręgu. Obaj kwaterowali w tym czasie na terenie placówki, a i ta trzecia, rezerowa, była zajęta. Mieszkałem w środku wsi. Chociaż w naszej wsi, za wyjątkiem trojgłendera majątku, Niemców nie było, jednak częste wizyty osób obcych w moim domu nie uszły zapewne uwadze sąsiadów. Nie było jednak innej rady. Postanowiłem zakwaterować go u siebie. Mieszkałem razem z rodzicami, oraz z żoną i trojgiem małych dzieci. Tobiety i ojciec oficjalnie nie wiedzieli o mojej przynależności do organizacji Ruchu Oporu, ale się domyślali. Szczególnie matka bała się o mnie. Miała zresztą doświadczenie z pierwszej wojny światowej z pracy P.O.W. Miejscowa placówka P.O.W. przystąpiła o trzy tygodnie wcześniej do rozbijania Niemców. Łącznik, odwołujący rozkaz rozbijania Niemców nie dotarł na czas i dokonano napadu na miejscowych żandarmów w obrębie naszego gospodarstwa. Zostali oni rozbrojeni, jeden został zabity, a drugi ranny uciekł. Rodziców i brata aresztowali, ojcu i bratu groziła śmierć.

Po przybyciu do nas wspomnianego gościa, matka w nocy czuwała. Przybył do nas w środę. W czwartek rano matka mówi mi, że w noc był ktoś pod oknem. Nie wierzyłem, sądząc, że to na skutek przewrażliwienia matki tak się jej wydawało, na wszelki jednak wypadek ugrałem wieczorem ziemię pod oknem żelaznymi grabkami. Rano pod oknem były ślady stóp.

Wieczorem przyszedł do mnie podporucznik rezerwy Olak Antoni, przewidywany w naszej placówce na dowódcę kompanii na wypadek zbrojnego wystąpienia. Żona jego pochodziła z Torunia, a przed wojną pracowała jako nauczycielka w Wejherowie, gdzie skąd zaraz na początku wojny uciekli do rodziny w Bendzeniu pow. Biepo. Olak Ludwika znała dobrze język niemiecki i pracowała w Urzędzie Gminy Chalin. Miała zaufanie u Niemców, miała dostęp nawet do tajnej korespondencji, a równocześnie była naszym konfidentem. Ostrzegła nas, że przez cały bieżący tydzień wszelkie małe uczęszczane drogi i ścieżki polne będą strzeżone, a w nocy będą przeprowadzane rewizje u wszystkich Polaków, celem wykrycia osób ukrywających się. Teraz zrozumiałem dlaczego przysłał mi tego pana. Wywiad Okręgu też wiedział zapewne wspomnianym zarządzeniom okupanta. Musiałem szukać innej kwatery dla naszego gościa, tym bardziej że obawy matki okazały się uzasadnione.

Półtora kilometra odemnie mieszkał nasz członek Zabłotowicz Roman, plutonowy rezerwy. Służbę czynną pełnił w kompanii reprezentacyjnej Wojska Polskiego. Jako maźrolny dorabiał przed wojną furmaństwem, a więc miał parę ~~kon~~ dobrych koni. W placówce pełnił funkcję łącznika do dyspozycji szefa sztabu i szefa łączności Komendy Okręgu Pomorze, kwaterujących na terenie naszej placówki. Jeździł z nimi furmanką na dalsze odległości. Był odważny, zdyscyplinowany. Gospodarstwo jego było położone było przy kolonii miejscowych Volksdeutchy. Zdecydowałem jednak mego gościa posłać do Zabłotowicza. W piątek rano posłałem do niego łącznika - Baranowskiego Edmunda, ps. "Kruk" z zapytaniem, czy będzie mógł zakwaterować u siebie mego gościa do poniedziałku, bo w poniedziałek jedna z kwater miała być zwolniona. Zabłotowicz zgodził się.

Gościem tym, jak się dowiedziałem po wojnie, był Szczygielski Józef, kurier Komendy Okręgu Pomorze, wysłany z ważnym meldunkiem do Komendy Głównej. Na skutek wzmożonej czujności Niemców był skierowany na okres jednego tygodnia do mnie.

W piątek wieczorem ten sam łącznik przeprowadził polami Szczygielskiego na nową kwaterę. W niedzielę były rzeczywiście przeprowadzone rewizje we wszystkich polskich domach. U mnie przeszukali dom, zabudowania gospodarza.

Po południu w niedzielę udałem się do Zabłotowicza. Zabłotowicz ze Szczygielskim siedzieli przy stole i grali w tysiąca.

1-1 Zygmunt Grefkowitz XII 78

ELŻBIETY

K w a t e r a

Wczesną wiosną 1942 r. łącznik Komendy Okręgu Z.W.Z. zgłosił się do mnie z nieznanym mi mężczyzną w średnim wieku z rozkazem przetrzymania go przez okres jednego tygodnia. Były na terenie naszej placówki trzy kwatery stałe, ale do dyspozycji Szefa Sztabu i Szefa Łączności i Dywersji Okręgu. Obaj kwaterowali w tym czasie na terenie placówki, a i ta trzecia, rezerwa, była zajęta. Mieszkałem w środku wsi. Chociaż w naszej wsi, za wyjątkiem trojgłuchendera majątku, Niemców nie było, jednak częste wizyty osób obcych w moim domu nie uszły zapewne uwadze sąsiadów. Nie było jednak innej rady. Postanowiłem zakwaterować go u siebie. Mieszkałem razem z rodzicami, oraz z żoną i trojgiem małych dzieci. Kobiety i ojciec oficjalnie nie wiedzieli o mojej przynależności do organizacji Ruchu Oporu, ale się domyślali. Szczególnie matka bała się o mnie. Miała zresztą doświadczenie z pierwszej wojny światowej z pracy P.O.W. Miejscowa placówka P.O.W. przystąpiła o trzy tygodnie wcześniej do rozbrajania Niemców. Łącznik, odwołujący rozkaz rozbrajania Niemców nie dotarł na czas i dokonano napadu na miejscowych żandarmów w obrębie naszego gos. odarstwa. Zostali oni rozbrojeni, jeden został zabity, a drugi raniony uciekł. Rodziców i brata aresztowali, ojciec i bratu groziła śmierć.

Po przybyciu do nas ws. omieszanego gościa, matka w noc czuwała. Przybył do nas w środę. W czwartek rano matka mówi mi, że w noc był ktoś pod oknem. Nie wierzyłem, sądząc, że to na skutek przewrażliwienia matki tak się jej wydawało, na wszelki jednak wypadek ugrałem wieczorem ziemię pod oknem żelaznymi grabkami. Rano pod oknem były ślady stóp.

Wieczorem przyszedł do mnie podporucznik rezerwy Olak Antoni, przewidywany w naszej placówce na dowódcę kompanii na wypadek zbrojnego wystąpienia. Żona jego pochodziła z Torunia, a przed wojną pracowała jako nauczycielka w Wejherowie, gwałtem skąd zaraz na początku wojny uciekli do rodziny w Bendzeniu pow. Biłno. Olak Ludwika znała dobrze językiemiecki i pracowała w Urzędzie Gminy Chalin. Miała zaufanie u Niemców, miała dostęp nawet do tajnej korespondencji, a równocześnie była naszym konfidentem. Ostrzegła nas, że przez cały bieżący tydzień wszelkie meło uciąższczane drogi i ścieżki polne będą strzeżone, a właściele będą przeprowadzane rewizje u wszystkich Polaków, celem wykrycia osób ukrywających się. Teraz rozumiałem dlaczego przysłał mi tego pana. Wywiód Okręgu też wiedział zapewne wspomnianym zarządzeniu okupanta. Musiałem szukać innej kwatery dla naszego gościa, tym bardziej że obawy matki okazały się uzasadnione.

Półtora kilometra odemnie mieszkał nasz członek Zabłotowicz Roman, plutonowy rezerwy. Służbę czynną pełnił w kompanii reprezentacyjnej Wojska Polskiego. Jako małorolny dorabiał przed wojną furmaństwem, a więc miał parę ~~koni~~ dobrych koni. W placówce pełnił funkcję łącznika do dyspozycji szefa sztabu i szefa łączności Komendy Okręgu Pomorze, kwaterujących na terenie naszej placówki. Jeździł z nimi furmanką na dalsze odległości. Był odważny, zdyscyplinowany. Gospodarstwo jego było położone przy kolonii miejscowych Volksdeutchy. Zdecydowałem jednak mego gościa posłać do Zabłotowicza. W piątek rano posłałem do niego łącznika - Baranowskiego Edmunda, ps. "Kruk" z zapytaniem, czy będzie mógł zakwaterować u siebie mego gościa do poniedziałku, bo w poniedziałek jedna z kwater miała być zwolniona. Zabłotowicz zgodził się.

Gościem tym, jak się dowiedziałem po wojnie, był Szczygielski Józef, kurier Komendy Okręgu Pomorze, wysłany z ważnym meldunkiem do Komendy Głównej. Na skutek wzmożonej czujności Niemców był skierowany na okres jednego tygodnia do mni.

W piątek wieczorem ten sam łącznik przeprowadził polami Szczygielskiego na nową kwaterę. W niedzielę były rzeczywiście przeprowadzone rewizje we wszystkich polskich domach. U mnie przeszukali dom, zabudowania gospodarz.

Po południu w niedzielę udałem się do Zabłotowicza. Zabłotowicz ze Szczygielskim siedzieli przy stole i grali w tysiąca.

-S- E N-

W sny i różnego rodzaju gusła i przesady oczywiście nie wierzę.
Jeden-----

Jeden jednak sen , jaki miałem w pierwszych dniach pobytu w Stutthofie, mocno mnie zastanowił i chcę go opisać.

Po przeprowadzeniu się z starego obozu , gdzie był tłok, brud, wszy, przeludnienie - spało się we trzech na jednym łóżku 80 cm. szerokim - i jeszcze na korytarzach między łózkami, a w związku z tym bicie przy wydawaniu posiłków , w umywalni, na apelach- w sumie wszystkie te szykany i okrucieństwa , jakie miały miejsce w obozach koncentracyjnych , których tu nie będę opisywał. W nowym obozie było luźno. Spaliśmy po jednym na łóżku, nasz blokowy, Kowalski, więzień polityczny , podobno oficer marynarki, nie bił nas, nie dokuczał, ale lubił i zaprowadził porządek na bloku. W związku z tym nie podpadaliśmy i przynajmniej noce mieliśmy spokojne. Na bloku- naszym byli przeważnie więźniowie polityczni, oraz młodzi chłopcy , odsiadujące terminowe wyroki w Stutthofie przeważnie za ucieczkę z robót.

Pewnego wieczoru , w parę dni po przybyciu do nowego obozu, po apelu wieczornym, usłyszałem piosenkę, śpiewaną przez dwóch młodych więźniów z Pawiaka przy akompaniamencie gitary, na melodię znanej partyzanckiej-mełedy pisenki. Była ona śpiewana z pełnym oddaniem nastroju życia obozowego , tęsknotą młodych chłopców za matką i wolnością. A więc tęsknie, melancholijnie. A oto słowa:

Rozszumiały się wierzby płaczące, rozplakała się matula w głos
I podniosła swe oczy błyszczące, na lagrowy, na smutny życia los
Nie szumcie wierzby nam, z żalu, co serce rwie,
Nie płacz matulu ma, bo nam w Stutthofie nie jest źle.
Czy to deszcz, czy słoneczna spiekota, dla nas nie ma ni
słońca, ni burz,
Jest w nas jeszcze do życia ochota, póki czuwa nad nami
Anioł Stróż.

Więc nie płacz matuś ma, wciąż widzę cię we łzach, słońce uśmiech niesie, gdy pod rodzinny wrócę dach.

Piosenki tej nie słyszałem już nigdy w Stutthofie, jak również nie spotkałem jej autorów i wykonawców. Chyba dlatego jest ona nieznana i nie publikowana w żadnych publikacjach o Stutthofie.

Tego wieczoru długo nie mogłem zasnąć. Do mego łóżka podszedł mój bliski kolega, Zdzychu, który wracał z ustępu/ ustępy na bloku były jeszcze nieczynne, chodziliśmy do prowizorycznych na podó

- Wyjdź, jaka piękna noc - mówi.

Wyszedłem. Noc była rzeczywiście piękna. Pogoda. Z pobliskiej wsi słychać poszczekiwanie psów i rechot żab z okolicznych bagien. Lekki, ciepły powiew wiatru przynosił zapach schnącego siana z okolicznych łąk. W dalszym ciągu nie mogłem zasnąć. Myśli wróciły w strony rodzinne, do swej wsi, pól, dzieci i tony. Kiedy nad ranem zasnąłem, przyśnił mi się diabeł, chociaż o nim nie myślałem. Wprawdzie w Stutthofie było tych diabłów setki z trupimi główkami SS na czapkach, z czerwonymi i czarnymi opaskami na rękawach różnych kapo i innych diabłów funkcyjnych. Mój jednak diabeł był inny. Był, to taki diabeł biblijny, jakiego nieraz widziałem w dzieciństwie na jasełkach w teatrze amatorskim: a więc czarno ubrany, czarna twarz, rogi na czole i długi krowi ogon.

Snił mi się, że idę ścieżką przydrożną obok łąki dojrzewającego żyta. Naprzeciw mnie jedzie tą samą ścieżką na rowerze diabeł. Ciemna twarz, odstające uszy, skośne, szeroko osadzone rogi, jak u młodego byczka, a nad siodełkiem długi, długi krowi ogon, zakręcony w znak zapytania. Przeraziłem się tego diabła i ustąpiłem mu z drogi. Skręciłem w żyto, lecz nie zdążyłem się skryć. Diabeł, przejeżdżając powoli, patrząc na mnie, rozemknął się swymi grubymi wargami od ucha do ucha i przeszył mnie swym sztycherem spojrzeniem. W tym momencie przebudziłem się, widząc jeszcze pół rzytomnie jego sztycherce spojrzenie i śmiech.

Mińęło parę tygodni. O śnie zapomniałem. Nadeszły żniwa. Z obozu wyjeżdżały do prac żniwnych do okolicznych „bambrów”, tzw. bauerkomando, tj. brygady o dziesięciu lub dwudziestu lub więcej ludzi w zależności od zapotrzebowania rolnika, pod eskortą jednego lub dwóch SS-manów, do pilnowania nas i popędzania w robocie.

Z wielkim trudem, bo wyglądałem słabiutko, udało mi się dostać do bauerkomanda. Kapem naszym był młody, szesnastoletni chłopak z Bydgoszczy, Heniek R. Bęcwał pochodzący ze wsi, znam oczywiście wszystkie prace rolne i wykonywałem je dobrze. Heniek do obozu trafił za to, że był harcerzem. Ja za czasów szkolnych byłem również harcerzem, znaleźliśmy wspólny język, polubił mnie i szanował.

Po dwóch miesiącach poraz pierwszy wyszedłem za bramę obozu, zobaczyłem wolność i wieś, mogłem pracować w polu. Jak ciężko pracujący otrzymywaliśmy dodatek po pół litra zupy. Obiad otrzymywaliśmy wieczorem, po powrocie do obozu, razem z kolacją. Ponadto obiady otrzymywaliśmy w przerwie obiadowej od bambrów. Z tymi obiadami było różnie: przeważnie kartoflanke lub kapuśniak na wodzie, bez tłuszczu, ale to już dla nas było dużo.

Raz tylko u starego Niemca dostaliśmy po przyjeździe do pracy śniadanie: chleb ze smalcem i kawę mleczną, a na obiad grochówkę i to w kuchni. U innych obiady jadalismy w szaarach lub w stajniach. Kosiliśmy rzepak u jednego wysokepartyjnego hitlerowca, który dowozil nam obiad ze Stutthofu 7 km./ aby od siebie nie nie dac, nawet ziemniakow z parnika dla swin, ktore bysmy chętniej sjeśli, jak lagrowy obiad i nie potrzebowalby gonic koni po 15 litrach zupy do obozu. Rzekap kosiliśmy sierpani! sześciu tęże sierpani, czterech wiążąc sznurkiem snopowiązałkowym i stawiając stygi. Niemcem taki zbiór opłacał się. Minimalne straty przy zbiorze, robotnik prawie darmo.

Po paru dniach musiałem się z bauerkomando pojechać, prawie na dwa tygodnie. Gdy przywieziono nas do Stutthofu, do kartoteki personalnej podałem zawód: ogrodnik w tym przekonaniu, że pracując w ogrodnictwie będzie się można trochę pożywić warzywami. Właśnie do komanda ogrodników brak było ludzi. Jako ogrodnik zostałem przeniesiony do ogrodnictwa. W Stuttkofie w obrębie obozu była szklarnia i plantacja pomidorów. Tu jednak pracowali starzy pracownicy komanda i Niemcy. Ponadto w odległości jednego kilometra od obozu były plantacje warzyw dla potrzeb kuchni i rodzin S.S. oraz kuchni obozowej, a więc sałata, szpinak, marchew, cebula i inne warzywa. W tym czasie prace pielęgnacyjne już się skończyły. Przerywaliśmy marchew, wiążąc więkrzą w paczki dla potrzeb S.S. i nosiliśmy w koszach wiklinowych z dwoma uszami t. zw. kipiak do obozu, robiąc po trzy do czterech kursów dziennie. Dźwignie kołys na ramionach, lub na plecach, 30 do 35 kg. bez żadnego odciążenia nie było łatwe. Wiklina wrzynała się w wychudzone plecy i ramiona, tworząc rany, które zaczęły ropnieć. Czuję, że długo przy tej pracy nie wytrzymam i wykończę się.

Mój kapo z bauerkomando obiecał mi, że jak tylko będzie miał wolne miejsce w komandzie, będę mógł do niego wrócić. Załatwił to z kapo z ogrodnictwa. Długo nie czekałem. Jeden z więźniów z jego komanda poszedł do szpitala i następnego dnia miałem odejść od ogrodników. Tymczasem rano przed apelem kapo z komanda ogrodników poszedł do mnie, mówiąc: "Hejte niht, morgen" /Dziś nie, jutro/ Wiedziałem, że jak dziś nie zgłoszę się do bauerkomanda, muszę czekać, aż znów ktoś zachoruje, Heniek bowiem musi stan komanda uzupełnić. Zaryzykowałem więc i nie zważając na słowa kapego z ogrodnictwa, poszedłem na bauerkomando. Wieczorem, jak wracałem na blok kapo z ogrodnictwa czekał na mnie przy drzwiach. Tłumaczy-

tem się, że nie znam niemieckiego i nie rozumiałem go. Nic nie pomogło. Zaprowadził mnie do blokowego, który w tym czasie wydał paczki. Blokowym był Niemiec z zielonym winklem /Trujką zielony, jakim byli oznaczeni więźniowie - kryminaliści, przeważnie Niemcy/ Cymeraan, wysoki, po słynnym Kozłowskim najwiękzszym sadyście z blokowych Statthofu. Jego metoda wykańczania więźniów polegała na tym, że ciosami w szczękę i żołądek naprzemiennie bił tak długo, dopóki ten nie upadł, a następnie kopnął w klatkę piersiową, a jak wpadł w furję, stawał piersiami na klatce piersiowej i gniótł oboasami, dopóki nie pokamał żeber. Zaczął mnie zaprawiać w ten sam sposób. Po kilku ciosach upadłem. Kopnął mnie butem kilka razy w bok. W tym dniu była dla mnie paczka. Heniek w międzyczasie pobrał za mnie paczkę. Udało mu się jakoś Niemca odciągnąć odemnie i dał mu moją paczkę. Na tym się skończyło. Paczka być może uratowała mi życie. Heniek wyprowadził mnie do umywalni. Krwawiłem. Wyplułem kilka zębów. Długo bolało mnie w boku. W czasie przesłwienia już na wolności dowiedziałem się, że miałem pęknięte żebrę. Drogo kosztował mnie powrót do bauerkomanda.

Żniwa były w pełni. Wiązemy żyto za wiązałką konną. Żyto, jak na Żuławach, tegie. Dziesięciu ludzi, chociaż nie wprawnych w wiązaniu, mogłoby swobodnie zdążyć wiązać, gdybyśmy byli rozstawieni dookoła pola, każdy na swoim odcinku. Nasz SS man nie chciał się na to zgodzić, chyba w obawie, żeby który nie próbował ucieczki, bo pole było długie około 500 m. a na końcu pola rosła kępa krzaków wikliny. Niemiec miał tegie pole i nie żałował bata, chcąc nas wykorzystać. Musieliśmy biegać za żniwiarką, wiążąc co dziesiąty snópek, aby zdążyć. Dzień był pogodny i upalny. Chciało nam się pić. Przesiliłyśmy Niemca, aby nam przyniósł wody. Nic z tego. Nasz SS man pokazał nam koniec pola mówiąc, że tam jest woda, to się napijemy. Na końcu pola było rzeczywiście bajorko, porośnięte wikliną dookoła, ale wody prawie nie było. Chcąc się napić, trzeba było położyć się na brzuchu, dłońmi wgnieść błoto i napić się tej cuchnącej cieczy.

Około godz. 15-tej skończyliśmy wiązanie żyta i przeszliśmy na drugie pole wiązać skoszony przedtem jęczmień. Teraz rozstawił nas po pokosach - i każdy wiązał swój. Wiazałem jako pierwszy i chociaż mój pokos był nadłuższy, starałem się jak najwolniej wiązać, aby nie wyprzedzać kolegów. W razie lekkiego

wyprzedzenia czekałem pochylony nad snopkiem, dopóki koledzy nie zrównają się ze mną. Nacz SS-man zauważył to. Wyciął grubym kij z wieźby i wolnym krekiem szedł za mną. Oczywiście nie wiedziałem o tym. Kiedy pochylony nad snopkiem czekałem, silne uderzenie kijem w głowę zamroczyło mnie. Upadłem. Gdy otworzyłem oczy, budząc się z zamroczenia, stałem pochylony nademną z szeroko rozwartymi grubymi wargami od ucha do ucha, przenikając mnie sztyderyczym wzrokiem. Gdzie ja tą twaź widziałem? Widziałem napewno, jest mi znajoma. Przypomniał mi się sen z przed dwóch miesięcy. Ten sam sztyderyczny śmiech i spjrzenie, tak samo rozwarłe mięsiste wargi i odstające uszy, jak u tamtego djabła, widzianego we śnie. To samo uczucie półprzytomnego budzenia się z zamroczenia, jak wtedy ze mnie. Tylko, że ten djabeł, pochylony nademną, zamiast rogów miał trupią czaszkę, oznakę SS na szapie i gruby, wierzbowy kij w ręku, zamiast ogona, zakręconego w znak zapytania.



Kopia I

Grzegorz Kowalski 18
(dotawiony ja H Augustowski)
12 87

-S- I-

W sny i różnego rodzaju gusła i przesady oczywiście nie wierzę.
Jeden-----

Jeden jednak sen , jaki miałem w pierwszych dniach pobytu w Stutthofie, mocno mnie zastanowił i chcę go opisać.

Po przeprowadzeniu się zestarego obozu , gdzie był tłok, brud, wszy, przeludnienie - spało się we trzech na jednym łóżku 80 cm. szerokim - i jeszcze na korytarzach między łózkami, a w związku z tym bicie przy wydawaniu posiłków , w umywalni, na apelach- w sumie wszystkie te szykany i okrucieństwa , jakie miały miejsce w obozach koncentracyjnych , których tu nie będę opisywał. W nowym obozie było luźno. Spaliśmy po jednym na łóżku, nasz blokowy, Kowalski, więzień polityczny , podobno oficer marynarki, nie bił nas, nie dokuczał, ale lubił i zaprowadził porządek na bloku. W związku z tym nie podpadaliśmy i przynajmniej noce mieliśmy spokojne.

Na bloku-nasym naszym byli przeważnie więźniowie polityczni, oraz młodzi chłopcy , odsiadujące terminowe wyroki w Stutthofie przeważnie za ucieczkę z robót.

Pewnego wieczoru , w parę dni po przybyciu do nowego obozu, po apelu wieczornym, usłyszałem piosenkę, śpiewaną przez dwóch młodych więźniów z Pawiaka przy akompaniamencie gitary, na melodię znanej partyzanckiej-melodi pisenki. Była ona śpiewana z pełnym oddaniem nastroju życia obozowego , tęsknotą młodych chłopców za matką i wolnością. A więc tęsknie, melancholijnie. A oto słowa:

Rozszumiały się wierzby płaczące, rozplakała się matula w głos
I podniosła swe oczy błyszczące, na lagrowy, na smutny życia los
Nie szuncie wierzby nam, z żalu, co serce rwie,
Nie płacz matula ma, bo nam w Stutthofie nie jest źle.
Czy to deszcz, czy słoneczna spiekota, dla nas nie ma ni
słońca, ni burz,
Jest w nas jeszcze do życia ochota, póki czuwa nad nami
Anioł Stróż.

Więc nie płacz matuś ma, wciąż widzę cię we łzach, słońce uśmiech
niesie, gdy pod rodzinny wrócę dach.

Piosenki tej nie słyszałem już nigdy w Stutthofie, jak również nie spotkałem jej autorów i wykonawców. Chyba dlatego jest ona nieznana i nie publikowana w żadnych publikacjach o Stutthofie.

Tego wieczoru długo nie mogłem zasnąć. Do mego łóżka podszedł mój bliski kolega, Zdzichu, który wracał z ustępu/ ustępy na bloku 21 były jeszcze nieczynne, chodziliśmy do prowizorycznych na podłozku

- Wyjdź, jaka piękna noc - mówi.

Wyszedłem. Noc była rzeczywiście piękna. Pogoda. Z pobliskiej wsi słychać poszczekiwanie psów i rechot żab z okolicznych bagien. Lekki, ciepły powiew wiatru przynosił zapach schnącego siana z okolicznych łąk. W dalszym ciągu nie mogłem zasnąć. Myśli wróciły w strony rodzinne, do swej wsi, pól, dzieci i tony.

Kiedy nad ranem zasnąłem, przyśnił mi się diabeł, chociaż o nim nie myślałem. Wprawdzie w Stutthofie było tych diabłów setki z trupimi główkami SS na czapkach, z czerwonymi iczarnymi opaskami na rękawach różnych kapo i innych diablaków funkcyjnych. Mój jednak diabeł był inny. Był, to taki diabeł biblijny, jakiego nieraz widziałem w dzieciństwie na jasełkach w teatrze amatorskim: a więc czarno ubrany, czarna twarz, rogi na czole i długi krowi ogon.

Sni mi się, że idę ścieżką przydrożną obok łąku dojrzewającego żyta. Naprzeciw mnie jedzie tą samą ścieżką na rowerze diabeł. Ciemna twarz, odstające uszy, skośne, szeroko osadzone rogi, jak u młodego byczka, a nad siodełkiem długi, długi krowi ogon, zakręcony w znak zapytania. Przeraziłem się tego diabła i ustąpiłem mu z drogi. Skręciłem w żyto, lecz nie zdążyłem się skryć. Diabeł, przejeżdżając powoli, patrząc na mnie, roześmiał się swymi grubymi wargami od ucha do ucha i przeszył mnie swym szyderczym spojrzeniem. W tym momencie przebudziłem się, widząc jeszcze półprzytomnie jego szydercze spojrzenie i śmiech.

Mińsko parę tygodni. O śnie zapomniałem. Nadeszły żniwa. Z obozu wyjeżdżały do prac żniwnych do okolicznych „bambrów”, tzw. bauerkomando, tj. brygady po dziesięciu lub dwadzieścia lub więźniów w zależności od zapotrzebowania rolnika, pod eskortą jednego lub dwóch SS-manów, do pilnowania nas i popędzania w robocie.

Z wielkim trudem, bo wyglądałem słabiotkę, udało mi się dostać do bauerkomanda. Kapem naszym był młody, szesnastoletni chłopak z Bydgoszczy, Heniek R. Póważ pochodził ze wsi, znał oczywiście wszystkie praceralne i wykonywał je dobrze. Heniek do obozu trafił za to, że był harcerzem. Ja za czasów szkolnych byłem również harcerzem, znaleźliśmy wspólny język, polubił mnie i szanował.

Po dwóch miesiącach poraz pierwszy wyszedłem za bramę obozu, zobaczyłem wolność i wieś, mogłem pracować w polu. Jak ciężko pracujący otrzymywaliśmy dodatek po pół litra zupy. Obiad otrzymywaliśmy wieczorem, po powrocie do obozu, razem z kolacją. Ponadto obiady otrzymywaliśmy w przerwie obiadowej od bambrów. Z tymi obiadami było różnie: przeważnie kartoflanka lub kapuśniak na wodzie, bez tłuszczu, ale to już dla nas było dużo.

Raz tylko u starego Niemca dostaliśmy po przyjeździe do pracy śniadanie: chleb ze smalcem i kawę mleczną, a na obiad grochówkę i to w kuchni. U innych obiady jadaliśmy w szaorach lub w stajniach. Kosiliśmy rzepak u jednego wysokopartyjnego hitlerowca, który dowoził nam obiad ze Stutthofu 8 7 km./ aby od siebie nie nie dać, nawet ziemniaków z parnika dla świń, które byśmy chętniej zjedli, jak lagrowy obiad i nie potrzebowałyby ganić koni po 15 litrach zupy do obozu. Rzekap kosiliśmy sierpami sześciu żęło sierpami, czterech wiązało sznurkiem snopowiązałkowym i stawiało stygi. Niemcom taki zbiór opłacał się. Minimalne straty przy zbiorze, robotnik prawie darmo.

Po paru dniach musiałem się z bauerkomando pożegnać, prawie na dwa tygodnie. Gdy przywieziono nas do Stutthofu, do kartoteki personalnej podałem zawód: ogrodnik w tym przekonaniu, że pracując w ogrodnictwie będzie się można trochę pożywić warzywami. Właśnie do komanda ogrodników brak było ludzi. Jako ogrodnik zostałem przeniesiony do ogrodnictwa. W Stutthofie w obrębie obozu była szklarnia i plantacja pomidorów. Tu jednak pracowali starzy pracownicy komanda i Niemcy. Ponadto w odległości jednego kilometra od obozu były plantacje warzyw dla potrzeb kuchni i rodzin S.S. oraz kuchni obozowej, a więc sałata, szpinak, marchew, cebula i inne warzywa. W tym czasie prace pielęgnacyjne już się skończyły. Przerywaliśmy marchew, wiążąc więkrzą w pęczki dla potrzeb S.S. i nosiliśmy w koszach wiklinowych z dwoma uszami t. zw. kispach do obozu, robiąc po trzy do czterech kursów dziennie. Dźwiganie koszy na ramionach, lub na plecach, 30 do 35 kg. bez żadnego odpoczynku nie było łatwe. Wiklina wrzynana się w wychudzone plecy i ramiona, tworząc rany, które zaczynały ropnieć. Czując, że długo przy tej pracy nie wytrzymam i wykończę się.

Mój kapo z bauerkomando obiecał mi, że jak tylko będzie miał wolne miejsce w komandzie, będę mógł do niego wrócić. Załatwił to z kapem z ogrodnictwa. Długo nie czekałem. Jeden z więźniów z jego komanda poszedł do szpitala i następnego dnia miałem odejść od ogrodników. Tymczasem rano przed apelem kapo z komanda ogrodników podszedł do mnie, mówiąc: "Hojte niht, morgen" /Dziś nie, jutro/ Wiedziałem, że jak dziś nie zgłoszę się do bauerkomanda, muszę czekać, aż znów ktoś zachoruje, Heniek bowiem musi stan komanda uzupełnić. Zaryzykowałem więc i nie zważając na słowa kapego z ogrodnictwa, poszedłem na bauerkomando. Wieczorem, jak wracałem na blok kapo z ogrodnictwa czekał na mnie przy drzwiach. Tłumaczy-

łem się, że nie znam niemieckiego i nie zrozumiałem go. Nie nie pomogło. Zaprowadził mnie do blokowego, który w tym czasie wydawał paczki. Blokowym był Niemiec z zielonym winklem /Trujkąt zielony, jakim byli oznaczeni więźniowie - kryminaliści, przeważnie Niemcy/ Cymerman, wysoki, po słynnym Koszowskiu największy sadysta z blokowych Stutthofu. Jego metoda wykańczania więźniów polegała na tym, że ciosami w szereg i żołądek naprzemian bił tak długo, dopóki ten nie upadł, a następnie kopał w klatkę piersiową, a jak wpadł w furję, stawał piersiami na klatce piersiowej i gniótł obcasami, dopóki nie połamał żeber. Zszczał mnie zaprawić w ten sam sposób. Po kilku ciosach upadłem. Kopnął mnie butem kilka razy w bok. W tym dniu była dla mnie paczka. Heniek w międzyczasie pobrał za mnie paczkę. Udało mu się jakoś Niemca odciągnąć odemnie i dał mi moją paczkę. Na tym się skończyło. Paczka być może uratowała mi życie. Heniek wyprowadził mnie do umywalni. Krwawiłem. Wyplułem kilka zębów. Długo belażę mnie w boku. W czasie prześwietlenia już na wolności dowiedziałem się, że miałem pęknięte zebro. Drogo kosztował mnie powrót do bauerkomanda.

Żniwa były w pełni. Wiązemy żyto za wiązałką konną. Żyto, jak na Żuławach, tegie. Dziesięciu ludzi, chociaż nie wprawnych w wiązaniu, mogłoby swobodnie zdążyć wiązać, gdybyśmy byli rozstawieni dookoła pola, każdy na swoim odcinku. Nasz SS man nie chciał się na to zgodzić, chyba w obawie, żeby który nie próbował ucieczki, bo pole było długie około 500 m. a na końcu pola rosła kępa krzaków wikliny. Niemiec miał tegie pole i nie żałował bata, chcąc nas wykorzystać. Musieliśmy biegać za żniwiarką, wiążąc co dziesięty snópek, aby zdążyć. Dzień był pogodny i upalny. Chciało nam się pić. Prosiłiśmy Niemca, aby nam przyniósł wody. Nie z tego. Nasz SS man pokazał nam koniec pola mówiąc, że tam jest woda, to się napijemy. Na końcu pola było rzeczywiście bajerko, porośnięte wikliną dookoła, ale wody prawie nie było. Chcąc się napić, trzeba było położyć się na brzuchu, dłońmi wgnieść błoto i napić się tej cuchnącej cieczy.

Około godz. 15-tej skończyliśmy wiązanie żyta i przeszliśmy na drugie pole wiązać skoszony przedtem jęczmień. Teraz rozstawił nas po pokosach - i każdy wiązał swój. Wiazałem jako pierwszy i chociaż mój pokos był nadłuższy, starałem się jaknajwielniej wiązać, aby nie wyprzedzać kolegów. W razie lekkiego

wyprzedzenia czekałem pochylony nad snopkiem, dopóki koledzy nie zrównają się ze mną. Nasz SS-man zauważył to. Wyciął grubym kij z wieźby i wolnym krokiem szedł za mną. Oczywiście nie wiedziałem o tym. Kiedy pochylony nad snopkiem czekałem, silne uderzenie kijem w głowę zamroczyło mię. Upadłem. Gdy otworzyłem oczy, budząc się z zamroczenia, stałem pochylony nademną z szeroko rozwartymi grubymi wargami od ucha do ucha, przenikającą mię szyderczym wzrokiem. Gdzie ja tą twaź widziałem? Widziałem napewno, jest mi znajoma. Przypomniał mi się sen z przed dwóch miesięcy. Ten sam szyderczy śmiech i spjrzenie, tak samo rozwarte mięsiste wargi i odstające uszy, jak u tamtego djabła, widzianego we śnie. To samo uczucie półprzytomnego budzenia się z zamroczenia, jak wtedy ze snu. Tylko, że ten djabeł, pochylony nademną, zamiast rogów miał trupią czaszkę, oznakę SS na czapce i grubym, wierzbowym kijem w ręku, zamiast ogona, zakręconego w znak zapytania.



MARSZ ŚMIERCI

1.

Po trzydziestu latach.

W początku lutego ubiegłego roku pojechałem do Gdańska w odwiedziny do córki. Piękny, słoneczny dzień, jak na wiosnę, 6 luty, wolna sobota. Zięć ma samochód, Syrenkę. Zapropo-
nowałem mu wycieczkę za miasto, na co chętnie się zgodził. Zabraliśmy ze sobą sześćioletnią Edytkę, wnuczkę i ruszyliśmy za miasto. Dwadzieścia kilometrów od Gdańska jest osada, czy wię-
krza wioska, Żukowo. Jak mi się wtedy zdawało, trzydzieści lat temu w czasie tragicznego marszu ewakuacyjnego więźniów Stut-
thofu, zwanego w historii obozu marszem śmierci, nocowaliśmy w Żukowie w kościele. Jedziemy więc do Żukowa. W Żukowie są dwa kościoły: jeden na górze, drugi zaraz w pobliżu w dolinie. Pamiętam, że kościół, w którym nocowaliśmy, stał na górze i tam zatrzymujemy się. Kościół był sankiety. Zorientowałem się jednak, że to nie ten kościół. Obeszliśmy dookoła cmentarz przykościelny, czytając napisy na starych nagrobkach. Pojawił się stary Kaszub w wieku ponad 70 lat, chyba kościelny. Musia-
ło go zainteresować wtargnięcie obcych przybyszy na teren kościoła. Zapytałem go, czy był w Żukowie przed końcem wojny i czy pamięta, jak w początku lutego 1945 r. maszerowały wtedy kolumny więźniów ze Stutthofu i że kilkunastu więźniów zosta-
ło w tej miejscowości zastrzelonych?

- Tak, pamiętam - odpowiedział - ale to nie tu, to tam, jest mogiła - wskazał drugi kościół, a jest mogiła naprzeciw drzwi frontowych.-

Zorientowałem się napewno, że jestem jednym z tych więź-
niów, co zresztą wyczułem. Prosiłem go, aby przekazał podzię-
kowania kobietom z Żukowa za pomoc, jaką nam okazały w posta-
ci ciepłej supy, ^{jaką} ~~jaką~~ nam przygotowały. Odpowiedział dwoma
słównami:

- Trzeba było -

Chciałem jeszcze zapytać, kto pochował pomordowanych, uprzedził mnie, jakby wyczuwając pytanie.

- Nas tam nie dopuścili, oni sami.-

Schodziliśmy w dół w kierunku drugiego kościoła w milcze-
niu. Po pewnym czasie Artur zapytał:

- Czy tato widział, że on miał łyzy w oczach? -

- Tak, widziałem, - odpowiedziałem.

Ten drugi kościół był otwarty. Weszliśmy do środka. Rozejrzałem się po nawie kościelnej. Nie, tu nie nocowaliśmy. Jak ustaliliśmy później z kolegami, nocowaliśmy w dniu 2 lutego w następnej wsi kościelnej, w Pomieczynie. W Żukowie spędziliśmy noc, stojąc w śniegu.

Przed drzwiami frontowymi kościoła jest wspólna mogiła. Na tablicy marmurowej napis:

"Wspólna mogiła około 60 więźniów Stutthofu pomordowanych w czasie tragicznego marszu w 1945 r."

Staliśmy chwilę z odkrytymi głowami, oddając ~~okład~~ pomordowanym.

Właśnie spotkanie ze starym Kaszubą i wspomnienia o pomocy, jakiej nam ludność Kaszubska udzielała w czasie naszego tragicznego marszu, wielokrotnie z narażeniem życia, skłoniły mnie do napisania Marszu Śmierci, aby tą drogą, jeżeli słowa te trafią do druku, złożyć im podziękowania za udzielaną nam pomoc na całej trasie przez Kaszuby i w czasie pobytu w Ribben czy to w postaci żywności, czy też organizowaniu i ułatwianiu ucieczek. My, którzy ten marsz przeżyliśmy, o ich pomocy pamiętamy i nie zapomnimy do śmierci.

Ostatnie dni w Stutthofie.

Już od 15 stycznia zaczęły do nas docierać pocieszające wieści: 12 stycznia rozpoczęła się wielka ofenzywa zimowa na środkowym odcinku frontu wschodniego. Poszczególne armie pierwszego frontu białoruskiego, a¹nimi pierwsza Armia Wojska Polskiego rozgromiły Niemców i w szybkim tempie posuwają się naprzód. w kierunku Poznania. 17 stycznia wyzwolona Warszawa.

Przychodzi raz do mnie nasz kapo Roman Olszewski z radośną nowiną - pracowałem w warsztatach ciesielskich D.A.W.

ó Zygmus, nasze rodziny już wyzwolone -
ón pochodził z Włocławka, ja z Chudzewy, koło Dobrzynia nad Wisłą.

Parę słów o Romku: Był starym więźniem, politycznym. Siedział w obozie chyba ponad trzy lata. Dobry fachowiec - "z prawdziwego zdarzenia" jak to się u nas mówiło, nie taki, jak ja i wielu innych więźniów politycznych, których nasi koledzy więźniowie polityczni z biura zatrudnienia zrobili fachowców, aby ułatwić nam przeżycie. Przed Romkiem kapem naszego komanda był Mazur z powiatu Piskiego Paul Sobotka. Nienawdził ~~Hitlerowców~~

hitlerowców narówni z nami, chociaż miał zielony winkiel - De Stutthofu dostał się prawdopodobnie za kłusownictwo w Puszczy Piskiej /Zielone winkle - trójkąty - nosili przesł tępey kryminalni, więźniowie polityczni czerwene trójkąty/ Paul nie popędzał nas w robocie, nie bił. W związku z tym znacznie przekraczał kosztorysowe ilości godzin na poszczególne robotach. Ztego powodu został zwolniony z funkcji kapa. Nasz komandofuhrer zagroził, że jeżeli tempo robót nie zwiększy się, połowę komando wyrzuci do lasu.

Po zwolnieniu Paula, komandofuhrer zaproponował Romkowi funkcję kapo. Romek był zdecydowany nie przyjąć proponowanej mu funkcji, chociaż wiedział, że jak nie przyjmie, grozi mu zwolnienie z komanda dolasu. Praca w lesie w t.zw. waldkomando była ciężka, szczególnie w okresie zimowym. Waldkomando w Stutthofie czymś w rodzaju karnego komanda. Tam się najwięcej więźniów wykańczało. Romek zwierzył mi się ze swych kłopotów i spytał o radę.

- Przyjmij - odpowiedziałem. - Trzeba ratować chłopaków -

- Tak - mówi Romek - Wojna się kończy, a on karze mi zostać kapem. Wiesz, że chcąc utrzymać całe komando, muszę pogonić w robocie, a tego nie zrobię.

- Nie musisz - odpowiedziałem - Na początek wykonaj kilka mniejszych robót w kosztorysowej ilości godzin, a nawet wykaz oszczędność. Pozostałe godziny pchaj w duże roboty, jak pontony lub królkarnie.

- To gospodarka na krótką metę -

- Sam mówięś, że wojna niedługo się skończy, zresztą oni są za głupi, żeby ci skontrolować roboty w toku.

To Romka przekonało. Przyjął funkcję kapego. Komando zostało uratowane. Nikt nie został do lasu wysłany.

Krążą po obozie wieści, że będziemy ewakuowani. Nadzieja szybkiego wyzwolenia staje się coraz bardziej realna. Niepokoi nas myśl, czy nie wykończą nas na miejscu. W fundamentach bloków podobno powiercone otwory, celem podminowania. Tragedia obozu w Majdanku dotarła do nas. Zaczynamy jednak przygotowywać się do ewakuacji.

Warto tu wspomnieć o moich kolegach. Było nas czterech serdecznych przyjaciół: Zdzisław Małkiewicz byliśmy w jednej sprawie aresztowani 5 maja 1943 r. on wparę tygodni później. On był łącznikiem między Komendą Powiatową a Komendą Rejonu Z.W.Z. Ja byłem komendantem placówki Z.W.Z. na naszą gminę. Trzecim był Lucjan Kędzierski, również więzień poli-

tyczny, przybył do obozu w rok po nas. pochodził z naszego powiatu. Pracowaliśmy w warsztatach ciesielskich, D.A.W. zimerei. Czwartym był Zbigniew Klubiński, również więzień polityczny, komendant placówki A.K. ^{z pow. h. mo} ~~z pow. h. mo~~ też nasz ziomek, przybył do Stutthofu jesienią 1944 r. Nasza czwórka stanowiła coś w rodzaju małej rodziny lagrowej. Dzieliliśmy się paczkami, wspólnie, jak to się mówiło "po obozowemu" organizowaliśmy produkty żywnościowe. Ta zasada obowiązywała przez cały okres ewakuacji obozu.

Wróćmy teraz do naszych przygotowań: w odzież i obuwie zaopatrywał nas kapo obozowej pralni i łaźni, były przeor klasztoru O. Paulinów w Skępem, ks. Sylwester Niewiadomy, przez Zdziecha, który pochodził ze Skępego. Ks. Sylwester był starym więźniem. Siedział w Stutthofie prawie od początku powstania obozu. Należał do tego rodzaju kapów, którzy poprzez umiejętną politykę wobec Niemców, zyskali ich zaufanie nie hańbiąc imienia dobrego Polaka-patrioty. Pomagał kolegom w miarę swoich możliwości, dostarczając nam ciepłą odzież, obuwie, a niekiedy i żywność. Od księdza dostaliśmy swetry, a ja z Luckiem ciepłą, puchową kołdrę po Żydach.

Któregoś dnia przychodzi do mnie Romek z nowiną:

- Rosjanie pod Elblągiem, słychać odgłosy walki -
 Tak jednak nie było. Były to prawdopodobnie odgłosy walki, jaką stoczył oddział 9 czołgów Radzieckich pod dowództwem kapitana Genadiego Diaczenki, który śmiałym atakiem w dzień wkroczył czołgami w ulice Elbląga, powodując panikę wśród Niemców.

Nadszedł dzień 22 stycznia. Przychodzi do naszych warsztatów komandofuhrer Lutz. Podaje wymiary skrzyń do opakowań. Nasze warsztaty mają wykonać 200, stolarnia 300 skrzyń. Romek zapytał, skąd mamy wziąć materiał na te skrzynie. Desek gorszego gatunku w warsztacie nie mieliśmy. Wskazał pryzmę najleprzych desek stolarskich i z tego każe robić skrzynie.

- Żle z wami - myślę - skoro taki materiał idzie na skrzynie.

Z kolei Romek zleca mi nadzór nad tą robotą. Ustawiliśmy maszyny na cięcie desek o odpowiednich wymiarach, na warsztatach zbijamy szablony. Robota zorganizowana. Teraz nie musimy się spieszyć. Tymczasem w warsztatach zawrzało, jak w ulu.

- Chłopaki, zbijać im te skrzynie, niech uciekają do cholery - wołają jedni

- Nie wolno nam się soieszyć, co nie wywozą, pozostanie dla nas - mówią inni.

Pracujemy całą noc, cały dzień. Kolację, śniadanie, obiad przywożą nam bezpośrednio z kuchni do warsztatów. Poza krótkimi przerwami na posiłki niema żadnych przerw w pracy. Wieczorem przywożą nam kolację. Mamy pracować jeszcze jedną noc. Jesteśmy przemęczeni. Przedewszystkim che się spać. Pracujemy już bez przerwy 36 godzin.

Przychdzi do nas oberkapo warsztatów drzewnych D.A.W. Juliusz Szwarcbard, również więzień polityczny i pyta, czy mamy gwoździe Było jeszcze parę skrzynek.

- Rób, żeby zginęły - szepnął mi i wyszedł.

Za oknem, przy którym stał warsztat stolarski, była studnia kanalizacyjna, nakryta betonową pokrywą. Gwoździe przenieśliśmy pod ten warsztat. Dwóch kolegów wyszło nadwór i odsunęli pokrywę. Otworzyliśmy okno. Po paru sekundach gwoździe znknęły w studni. Wybiliśmy resztę gwoździ, znajdujących się na warsztatach. Koniec roboty. Niektórzy koledzy zasypiają, siedząc na zбитych skrzyniach oparci łokciami o warsztaty.

Wchodzi pijany komandofuhrer Lutz z pistoletem w rękę. Pyta, dlaczego nie zbijamy skrzyń. Odpowiadamy, że niema gwoździ. Wysyła Zdzicha, żeby poszukał kapów. Nasz Romek i kapo stolarni, widząc pijanego Niemca, skryli się w szpitalu. Zdzichu wiedział o tym, jednak wyszedł i też się skrył. Julek Szwarcbard przyszedł sam. Stanął przed Niemcem na baczność i zameldował, że niema gwoździ. Niemiec się wścieka, dlaczego nie sprowadził z magazynu. Julek melduje spokojnie, że za późno dowiedział się o tym, że mamy jeszcze pracować na noc, nie mógł posłać po gwoździe, bo w obozie było już po apelu /Przez cały dzień, oprócz wartowników na wieżach, były jeszcze rozstawione warty w rejonie pracy komand poza drutami, które po powrocie komand z pracy i odtrąbieniu apelu schodziły do koszar. Droga do magazynu była poza drutami, a więc po apelu nie strzeżona./ Zdenerwowany Niemiec uderzył Julka kolbą pistoletu w głowę. Z rozciętego łożu krwiowego spływa po policzku krew, on jednak stał dalej wyprostowany, patrząc śmiało Niemcowi w oczy. Czekaliśmy z napięciem nerwów na strzał. Niemiec nie strzelił jednak, wyszedł.

- 6 -

Zasypiamy, gdzie kto może: przeważnie siedząc na skrzyniach, oparci o warsztaty.

Rano ze zbijania skrzyń zrezygnowali. Pozostało nas kilku celem rozmontowywania maszyn i przygotowania ich do transportu, reszta wraca na bloki. Czekamy, kręcąc się po halach maszyn. W końcu jednak zrezygnowali z demontażu maszyn i wracamy na bloki. Na placu, przed budynkiem niewykończonych jeszcze kuchni, płonie ognisko. Palą akta obozowe. W obozie ruch. Wszystkie komanda w blokach. Gorączkowe przygotowania do ewakuacji. Podobnorano opuszczamy obóz. Wzajemne odwiedziny kolegów z innych bloków, narady, dyskusje, dopytywanie o wiadomości z frontu. Są pomyślnie. Ofensywa na środkowym froncie w szybkim tempie postępuje naprzód. Wojska Radzieckie pod Poznaniem, Bydgoszczą.

Nastroje wśród więźniów naogół optymistyczne. Przedewszyst- ogromne podniecenie. Wreszcie dzieje się coś konkretnego. Są tacy, którzy twierdzą, że za parę dni będziemy na wolności. Nie brak i pesymistów. Naogół ten lęk przed nieznanym jutrem udziela się częściowo wszystkim. Mogą w ostatniej chwili nas wykończyć. Takim najbardziej skrajnym optymistą był Stasiu R. Niepoda- ją nazwiska, bo dokładnie nie pamiętam. Pracował w stolarni. Był starym więźniem. Paczek żadnych nie otrzymywał, ale umiał sobie "organizować" żywność. Zupę przeważnie otrzymywał ze szpi- tala z oddziału zakaźnego chorych na krwawą biegunkę w zamian za dostarczane do szpitala drewno opałowe. Gdy wchodził na oddział, wiatał chorych słowami:

- Cześć chłopaki, co słychać, kto się zes...?

Agdy spotkał muzułmana, który już się załamał i nie wierzył w wyleczenie się, zawsze go pocieszał:

- Co się martwisz? I tak niebo, i tak niebo - A wskazując na komin krematorium dodawał:

- Popatrz na ten komin. Tamtędy prosto do nieba polecisz. Gdy spotkał muzułmana, który zaczynał stopniowo przychodzić do zdrowia, rozkładał ręce:

- Nie potrzebuję, zrób mu trumnę, a on ci powie: ja ci gównem umrę.- Przeżył, chociaż był w takiej sytuacji, że wszyscy byliśmy przekonani o jego śmierci. Ale o tym w dalszej treści moich wspomnień.

Wreszcie wieczór i kładziemy się spać, by odpocząć na drodze. Ostatnia noc w Stutthofie.

25 stycznia. Po apelu zapowiedziano nam obóz będzie ewakuo- wany do innego obozu, gdzie będziemy dalej pracować, dostaniemy

to samo wyżywienie, jak w Stutthofie. Przy śniadaniu otrzymaliśmy prowiant na drogę. Pół bochenka chleba na osobę. I to miało wystarczyć na cały okres ewakuacji. Zdziechu przyniósł od księdza Sylwestra ~~torbę~~ sucharów z chleba razowego, które zaraz podzieliśmy na cztery równe części. I to był nasz cały zapas żywności. Na jak długo ma to nam wystarczyć? Kto mógł przewidzieć.

Tworzy się zaraz pierwsza kolumna marszowa: pierwszy i drugi blok, oraz Litwini, piątkami poraz ostytni przechodzą bramę Stutthofu. I tak już szło dalej. W odstępach od jednej do półtorej godziny wychodzą następne kolumny po dwa bloki t. j. po około 1.500 ludzi w każdej opuszcza obóz. Wiemy już, że wyjdziemy z obozu, jako ostatnia kolumna. Dwunasty blok t.j. warsztaty D.A.W. oraz piętnasty - biura, pracownicy kucani, orkiestra. Przygotujemy ekwipunek na drogę: otrzymany prowiant, po kocu, zwiniętym w rulon, miska i łyżka obozowa.

O godzinie dwunastej, jak zwykle, obiad. Dla nas już nie wydano. Otrzymują tylko ci, co pozostają: chorzy, oraz funkcyjni więźniowie, przeważnie Niemcy z zielonymi winklami. Wreszcie około godziny 14-tej formujemy kolumnę marszową, jak było zapowiedziane: 12 i 15 blok w sumie około 1.500 ludzi. Orkiestra zabrała swoje instrumenty. Każdy podniecony - z jednej strony uczucie radości, że wreszcie koniec się zbliża, przed nami wolność, z drugiej obawy, że zanim to nastąpi, co jeszcze nas czeka? Ilu nas przeżyje i czy wogóle ktokolwiek przeżyje, czy nie wystrzelają nas po dredze?

Przekraczając bramę, obejrzałem się na obóz. Na końcu ulicy w prawo, pod lasem komin krematorium. Nie dymił.

- Żegnaj Stutthofie, żegnaj kominie! Obyś już nigdy nie dymił! Przypomniał mi się wiersz, który zaświtał w mojej głowie, gdy na ten komin patrzyłem przez prawie dwa lata, Oto fragment:

I wzniosłeś w górę łeb swój czarny, smoczy
Tysiącem dusz niewinnych plujesz chmurom w oczy
A z paszczy twojej płynie dymu wstęga
Cicha, szara, spokojna, ta dusza haeflinga
Wzłała w górę, wprost ku niebu strzela,
By dowody swej męki złożyć u stóp Zbawiciela

.....

III

S T U T T H O F I D Z I E I

Idziemy w kierunku Gdańska. Dzień pogodny, mroźny. Polewej stronie pokryte śniegiem równiny Żuław, po prawej las sosnowy. Patrząc na te smukłe, wyrośnięte sosny, przypomniła mi się sosna, rosnąca naprzeciw okna mojego warsztatu, tuż za drutami. Resztkami postrzępionej korony pochylona w kierunku okna, zdawała się płakać nad naszym losem. Konęła, truta dymem z krematorium. Kikutem odłamanej gałęzi zdawała się grozić kominowi. To była moja sosenka. Mijamy Stegnę. Krajobraz nie zmienia się, tylko z dużego przechoď w zagajnik. Małe świerki i sosenki uginają się pod ciężarem śniegu. Polewej równina. Na choryzoncie pojedyncze zagrody, lub wioski w drzewach. Przeszedłem o parę piątek naprzód do Romka.

- Romek, popatrz na te równiny, jak twoje Kujawy, prawda? -
- Kujawy już wolne - odpowiedział, a sąsiad jego dodał:
- I tu idzie wolność za nami. Teziemie będą nasze.-

Coś tam wrzasnął SS-man z eskorty, chyłkiem wróciłem do swojej piątki.

Droga przetarta, już kilka kolumn przeszło przed nami. Tempo marszu powolne. SS-mani nie pośląją, brną po bokach kolumny w śniegu, jak psy gończe, a nam się nie spieszy. Trzeba oszczędzać siły, każde przyspieszenie tempa oddala nas od wolności. O ciemnym zmroku doczodzimy do promu. Przy promie tłok. Czekaemy kilka godzin na kolejkę. Przeprowadzamy się na drugi brzeg Wisły. Leniwy nurt Wisły, jakby przyduszony mrozem, opływa prom, by zginąć gdzieś w dali w falach Bałtyku. I my płyniemy powoli. W nieznanie. Może też też zginiemy w falach zawieruchy wojennej?

Na brzegu formujemy kolumnę marszową i ruszamy dalej. Jest już ciemna noc. Zmieniamy kierunek marszu z zachodniego na południowy, równoległe do koryta rzeki. Po przejściu ^{kiś} ~~też~~ kilkunastu kilometrów ~~str~~ zatrzymujemy się na nocleg w dużym gospodarstwie. Gospodarz, tęgawy Niemiec w starszym wieku, kieruje nas do dużej stodoły. W sąsiedkach do połowy słoma, klepiska wolne. Kładziemy się, gdzie kto może; w sąsiedkach, na klepiskach. Tłok. Obok sąsiedka widzę mały składzik na plewy, obity deskami. Otworzyłem &

drzwiczki, pełno plew. Będzie wygodne spanie. Zagrzebałem się głęboko w plewy, jest mi ciepło, wygodnie. Szybko zasnąłem. Rano wstałem wypoczęty, ale gdy wyszedłem na podwórze, wszyscy się ze mnie śmieją, nawet ss-mani. Wyglądałem, jak przysłowiowy strach na wróble, cały w plewach. Ciężko było obrać się z tych plew. Na podwórzu tłok, szczególnie przy studni. Czerpią tam wodę drewnianym kołowrotem, ale skorzystać z umycia się mogą tylko nieliczni. Podobno gospodarz wyniósł mały kociołek czarnej kawy i dzielił po garneczku, dla ilu starczyło.

Apel, a po apelu w prawo zwrot i maszerujemy dalej. Tempo marszu w dalszym ciągu powolne, maszerujemy drogami raczej polnymi, bo główne arterie drogowe potrzebne dla wojska. Po drodze żadnych wiosek, luźne kolonie. Krajobraz ten sam, równiny żuławskie. Poprzezbiegłego dnia przemaszerowaliśmy około 30 km. bez jedzenia i picia. Skromne zapasy żywności rezerwowaliśmy na dalszy okres. Pragnienie zaspokajaliśmy śniegiem. Nikt nie wiedział, dokąd nas prowadzą. To wszystko stwarzało nie najprzyjemniejszą nastrój. Szliśmy przeważnie w milczeniu, przygnębieni. W tym dniu zrobiliśmy zaledwie 8 km.

Następny nocleg również w wiekrzym gospodarstwie w stodole. Niema składowiska na plewy, a na klepisku stały przedtem konie, zapewne uciekinierów z Pród Wschodnich. Kładziemy się z Luckiem na klepisku, okręcając się naszą nieodzowną kołdrą puchową. Jest nam ciepło, ale po pewnym czasie legowisko nasze staje się mokre - to obornik koński rozmarza, podsiakamy gnojówką.

Około północy budzi nas kilka wystrzałów z działka czołgowego w bliskiej odległości. Czyżby to już koniec? Przy drzwiach wejściowych do stodoły ruch. Kilku kolegów wyszło na podwórze. Cisza panowała jednak do rana. Rano, jak poprzedniego dnia: tłok przy studni, mały kociołek kawy, dla ilu starczyło. Część kolegów, którzy nie pomieścili się w stodole, spało w oborze. Ci mieli szczęście. Wydeili krowy, popili po trochu mleka. Apel. Trwa dość długo. Ss-mani kilkakrotnie sprawdzają stan. Okazał się, że kilku, czy też kilkunastu kolegów, korzystając z nocnego zamieszania, uciekło. Wystraszeni wartownicy w czasie tej krótkotrwałej strzelaniny opuścili swoje stanowiska, to właśnie ułatwiło naszym kolegom ucieczkę.

Zmieniamy kierunek marszu na północny. Po nocnych emocjach i zawiedzionej nadziei odczuwa się ogólne przygnębienie i apatię. Zresztą głód i pragnienie, które gasimy jedynie śniegiem i to z umiarem, żeby nie przeziębnić żołądka, pogłębia nasze pesymistyczne nastroje. Skromne zapasy chleba i sucharów staramy się zachować jaknajdłużej, nie wiedząc, na jak długo mają nam wystarczyć. Sam fakt, że skręciliśmy na północ, a więc oddalamy się od linii frontu, nie wróży nic dobrego.

Przed wieczorem dochodzimy do Pruszcza. Zdala widać lotnisko Hangary i kilka samolotów zawiane śniegiem. Przeszliśmy w tym dniu 11 km. Przy lotnisku w barakach jest mały obóz, w nim Żydówki. Przekwaterowano je do jednej końcowej sali baraku, my zajmujemy resztę. Tłok niesamowity. Łóżka, korytarze między łózkami, złożone ludzmi. W naszej salce jest piec żeliwny. Chłopcy zorganizowali z kądś drewna, rozpalają ogień. Nad piecem jest wąż na strych baraku. Otwieramy go, szykujemy tam w kilku spanie. Ciepłe powietrze lekko nas ogrzewa.

Po przygotowaniu legowiska do spania, wyszedłem na korytarz i przepychając się w tłoku, dostałem się na stronę żydowską baraku z zamiarem zorganizowania trochę żywności. Mowy nie ma! One też głodują. Jakaś stara żydówka, pyta, czy nie mam igły i nici. Miałem. Po długim targu za igłę i trochę nici dostałem szklanekę od musztardy płatków owsianych. Wracam uradowany do swoich. Ale teraz problem, w czym te płatki ugotować. Za obietnicę paru łyżek płatków owsianych wypożyczam mienątkę. Zalewamy płatki wodą i stawiamy na płycie pieca, jednak o ugotowaniu mowy nie ma. Woda zdążyła się trochę rozgrzać, a już gonia nas z pieca. Każdy chce chociaż ciepłą wodą rozgrzać żołądek. Jemy te płatki, chociaż nie rozpęczniałe nawet i bez soli z wielkim apekcytem.

Podobno przed barakiem wydawano kawę. Mój bliski kolega, Bolek Szarwiński, dotłoczył się po kawę. Kiedy otrzymał swoją porcję, chciał jeszcze zorganizować trochę kawy dla mnie. Nie udało się. Zamiast kawy dostał parę kijów i wrócił z rozciętą głową.

Następnego dnia pobudka o 6-tej. Krzykiem i kijami popędzają do pośpiechu. W nocy spadł śnieg. Drogi chyba zawiane bo wprowadzają nas na tor kolejowy, prowadzący do Kartuz. Maszerujemy dwójkami po podkładach między szynami. Kolumna wydłuża się. SS-mani z eskorty brną miejscami po pas w śniegu. Tempo, jak w poprzednich dniach, powolne. Po pewnym czasie z tyłu kolumny

słysząc od czasu do czasu pojedyncze strzały. Nie robi to na nas żadnego wrażenia. Sądzymy, że to ss-mani tak sobie dla rozgrzewki strzelają. Wkrótce od tyłu kolumny pojedyncze pary zaczynają nas wyprzedzać. Rugamy ich, po co przyspieszają tempo marszu, ci jednak w milczeniu przepychają się do przodu. Pojedyncze strzały z pistoletu w dalszym ciągu słysząc z tyłu. Jesteśmy już blisko końca kolumny, chociaż byliśmy w przodzie przy wymarszu. Nic złego jednak jeszcze nie podejrzewamy. Gdzieś chyba koło południa kolumna schodzi z toru na odśnieżoną już pługiem drogę. Formujemy normalną kolumnę marszową, piątkami. Droga schodzi w dół do wąwozu, a dalej wznosi się w górę. Kiedy zeszliśmy w dół z tyłu kolumny słysząc dwa strzały. Oglądamy się do tyłu. Dwóch kolegów leży na środku jezdni. Zrozumiliśmy, co znaczą te strzały i wyprzedzanie kolegów z tylnich szeregów. Leżeli na środku jezdni, zwinięci w kłębek, jak kamienie. Skąd to porównanie: jak kamienie.... To Asnyk pisał:

A gdy trzeba, niech idą na śmierć po kolei,

Jak kamienie, rzucające przez Boga na szaniec.

szy, rzucając po kolei kulą ss-manów na drogę.

W połowie podejścia pod górę, gdzie droga szła wykopem, tworząc z jednej strony wysoką skarpe, zatrzymano kolumnę. Na lewej skarpie karabin maszynowy z puszką i lufą, skierowaną na nas. Czekamy z napięciem, co dalej. Od czoła kolumny szeptem podawana informacja: gdy otworzą ogień, rzućmy się na Niemców. Może uda się ich rozbroić. Jest ich niewielu, a nas około 1.300 ludzi. Może chociaż część się uratuje. Zresztą nie mamy nic do stracenia. Nie damy się wystrzelać, jak barany. Nasze podniecenie nie uszło uwagi Niemców. Deszli chyba jednak do wniosku, że w razie masowego ataku z naszej strony, mogliby nie opanować sytuacji, chociaż byli uzbrojeni, bo gdy ruszyliśmy w dalszą drogę, strzały na końcu kolumny przez pewien czas nie powtarzały się.

Maszerujemy dalej. Krajobraz zmienił się. Droga prowadzi skrajem wąwozu, na którego dnie płynie rzeka. Chyba Radunia. Zmęczenie i głód dają się odczuwać coraz bardziej. Co słabsi rzucają koce, oraz inne bagarze. Widzi się coraz więcej osłabionych, którzy nie mogą iść o własnych siłach, prowadzonych pod rękę przez kolegów. Każdy wie dobrze, że pozostawienie osłabionego kolegi grozi mu nieuchronną śmiercią.

Od czoła kolumny jeden kapo z waldkomando w długich butach z cholewami, dopasowanymi do nogi, zrównał się z nami.

- Koledzy, pomóżcie, nie mogą iść dalej, nogi mi popuchły - prosi

Na to pewien warszawiak z grupy pawiackiej, który go dobrze znał:

- Patrzcie, znalazł się kolega! a pies ci mordę lizał, zdychaj, skurwysynu, albo siebie odpochnij na rowie, z tyłu idzie taki, co pomaga.

Ktoś inny poradził:

- Rozpruj te cholewy, to ci nogi wytechną.

Nasza czwórka trzyma się naogół dobrze. Mnie jednak ogarnia w pewnej chwili ogarnia osłabienie, zobijętnienie. Czuje się, jakbym budził się półprzytomny z koszmarnego snu. Przypomina mi się sen z obozu: U szczytu jekiegoś urwiska stoi ojciec i wyciąga do mnie ręce, aby wyciągnąć mię z dna tego urwiska. nie może jednak wyciągnąć, chociaż i ja do niego ręce wyciągnąłem. I kojarzy mi się półprzytomnie, że ta skarpa, to urwisko, widziane wanie, tylko niema ojca i nikt mi ręki nie podaje i ja już stąd nie wyjdę. To moja ostatnia droga. Przyjmuję to jednak obojętnie. Gdybym się teraz przewrócił i ujrzał nad głową lufę pistoletu, nie by to mię nie obchodziło. Po pewnym czasie osłabienie mija, dochodzę po normy.

Wróćę jeszcze do tych dwóch trupów na górze. Po pewnym czasie słyszę od kolegów, że jednym z zabitych był Stasiu R. Taki optymista, zawsze pocieszał kolegów, a jedyna sam nie przeżył. Po wojnie dowiedziałem się, że na jakimś spotkaniu Stutthowiaków w Toruniu zjawił się Stasiu. Opowiadał im, że wtedy na górze on rzeczywiście upadł. ^{po stronie niemieckim strażnic} Gdy ten drugi padał na ziemię, trafiony w głowę, krew jego opryskała Stasiowi twarz. SS-man myślał, że obaj zabici i poszedł dalej. Stasio wyczekał, jak kolumna się oddali, schronił się do lasu i tam poczekał ukryty do nocy. W nocy doszedł do jakiejś zagrody. Trafił na Kaszubów, którzy go ukryli i przetrzymali do końca wójny.

Przed wieczorem skręcamy połą drogą do wiektrzego folwarku. Po prawej stronie przy zabudowaniach folwarcznych lasek, czy też park. Podwórze duże, ale pełne wozów. Kwaterują niemieccy uciekinierzy. Dla nas miejsca nie ma. Wracamy do głównej drogi z drugiej strony podwórza. Lasek znów mamy po prawej stronie. Tworzy on trójkąt, którego podstawę stanowią zabudowania folwarczne, boki wspomniane drogi. Droga, którą wracamy, od strony lasu była nie strzeżona. Kilku kolegów skoczyło do

lasku. Zdzich nie wytrzymał nerwowo. szepnął do nas:

- Chłopaki, urywajmy się - i chciał skoczyć do lasu.

Któryś z naszych przytrzymał go za kapotę.

- Powoli, nie tak ostro, z rozważą, a jak nas zobaczą? -

Okazuje się, że ci koledzy, którzy uciekli do lasu, wpadli w zasadzkę. Lasek był obstawiony, ale od strony drogi, którą szliśmy do podwórza. przy końcu drogi Niemcy zatrzymali nas. Przeczesali lasek, tych, którzy się w nim ukryli, wystrzelali.

Maszerujemy dalej. O wczesnym zmroku dochodzimy do jakiejś kolonii. Rozdzielają nas na małe grupy, celem zakwaterowania w małych stodołach chłopskich.

W dniu tym przemaszerowaliśmy około 25 km. w ciągu 12 godzin. Był to najbardziej uciążliwy i najtragiczniejszy dzień w dotychczasowym naszym marszu. Można by go nazwać dniem śmierci. Podobno komendant naszej grupy otrzymał nagane za opóźnienie marszu na odcinku od Stutthofu do Pruszcza. Odległość od Stutthofu do Pruszcza wynosi około 35 km. a myśmy na przebycie jej zużyli trzy dni, nadkładając drogi tym krążeniem po bocznych drogach, bo główne były zajęte przez wojsko. Komendant obozu w Pruszczu przydzielił do naszego konwoju ss-mana ze swojej załogi i to on strzelał do więźniów. W dniu tym zostało zastrzelonych około 140 więźniów. Głód zaczynał dokuczać coraz mocniej, przez te cztery dni nie dostaliśmy żadnych przydziałów żywności ani nic do picia. Skromne zapasy wykańczały się i oszczędzaliśmy je na dalszą drogę. Ponadto zaśnieżone drogi i mróz wyczerpywały nas więcej, jak przebyte kilometry.

W kolonii tej naszą grupę około 250 więźniów, zakwaterowano w małej stodole. Widocznie okolica biedna, bo w stodole trochę słomy, chociaż to dopiero połowa zimy. Z Luckiem szykujemy sobie spanie na snopkach słomy żytniej, ułożonej na drągach nad sasiakiem. Mróz około 20 stopni. Naszą kołdra zabezpiecza nas skutecznie przed mrozem od góry, ale od dołu podwiewa nas przez koc na spojeniach snopków. Rano gospodarz stary Kaszub, przynosi kocioł gorącej, czarnej kawy. Tym razem wystarcza dla wszystkich po około 1/4 litra. W stodołach tej kolonii zatrzymaliśmy się przez dwa dni ze względu na silne mrozy i zawieje śnieżne. Nasz kaszub wyniósł na obiad

duży wózek czarnego grochu i dzielił na każdego więźnia po garneczku około 1/3 litra. Na więcej nie było go stać. Ustawiliśmy się grzecznie w kolejce. Kiedy swoje porcje otrzymaliśmy, Lucek przesywał swój groch do mojej miski i gdzieś znikł. Kiedy Kaszub kończył wydawanie grochu, szybko stanął za ostatnim w kolejce, między jego nogami nabrał prawie pełną miskę i przepadł w tłumie. Kaszub nie protestował i w ten sposób, bez krzywdy dla kolegów, zyskaliśmy miskę grochu, ^{to} po obdzieleniu wszystkich, Kaszu zabrał. Nasz gospodarz, z wiedzą wartownika, zezwolił na rozpalenie ogniska na podwórzu przy którym grzeliśmy się i ^{zamykamy} sosy i przemokłe w śniegu obuwiu, a kto miał w czym, gotował groch. My nie mieliśmy w czym gotować, gryźliśmy na sucho, popijając śniegiem.

Następnego dnia zdarzył się wypadek, który napewno każdemu z nas głęboko utkwiał w pamięci. Około południa, kiedy wszyscy byliśmy na podwórzu, wygrzewając się przy ognisku, w sąsiedniej stodole, oddalonej od nas około 100 metrów, jeden z kolegów uchylił lekko wrota stodoły od tyłu, przecisnął się na zewnątrz i zaryzykował ucieczkę. Biegł po polu prosto przed siebie. Nie uszło to jednak uwagi czujnego wartownika, który po ostrzegawczym "halt" posiał za nim serię z pistoletu maszynowego. Padł twarzą w dół. Ciemna jego sylwetka odbijała od puszystej bieli śniegu.

Z kolonii tych ruszyliśmy po dwóch dniach do Żukowa. Przebyliśmy zaledwie 6 km. Szliśmy już teraz drogami, pełnymi furmanek uciekających Niemców. Furmanki najczęściej drabiniaste, z dachami z płótna, rozpiętego na pałakach. Boki i dna wozów wysłane i zabezpieczone plandekami. Wozy, jak również nasza kolumna, posuwają się powoli. Lucek, idąc obok jednej z furmanek, zaciekawiał się, czy niema na wozie coś do jedzenia, gdyż tylko to mogło nas interesować. Zniechęca, lecz silnie udezrył pięścią w płótno między szczeblami. Nie przedarła się. Po kilku uderzeniach zrobiła się dziura, przez którą można było włożyć rękę. Namacał w wozie konwę 20 litrową do mleka. ^{konwa w wozie} Udy upewnił się, że nie jest obserwowany, otworzył konwę. Konwa była pełna smalcu. Smalec był zmarznięty. Trudno było nabrać go w dłoń. Z wysiłkiem jednak nabrał kilka razy, dzieląc nas. Widok jednak jedzących coś ludzi poruszył najbliższe piątki przed i za nami. Zaczęło się przepychanie. Jednocześnie ss-mani zaczęli nas ponaglać, wozy natomiast jechały

wolno. Wyciągnął konwę na zewnątrz. Zaczęło się wydzieranie konwy. SS-mani spostrzegli to i zaczęli krzyżeć. Cóż, konwa nie szpilka, nie ukryje jej, a tu strach przed zastrzeleniem. Trzeba było wkulnąć ją do przydrożnego rowu.

Następny nocleg w Żukowie. Właściwie to nie był nocleg, lecz stanie przez całą noc na śniegu. Właściwie z tego okresu z naszej czwórki pamiętamy tylko fragmenty, jak przez sen. Głód, pragnienie, wyczerpywały organizm. Pragnienie, jak wspomniałem, gasiliśmy śniegiem, co też osłabiało. Ja pamiętam, że dostaliśmy po trochu jakiejś zupy. Według relacji naszego kolegi z Lipna, Franciszka Przybylskiego, prawie wszyscy leżeli w śniegu. Trudno powiedzieć, że leżeliśmy. Każdy bał się tego leżenia ze względu na mróz. Raczej siedzieliśmy w kuczki, lub stali. Profesor Krzysztof Dunin-Wasowicz w swojej książce o Stutthofie pisze, że w Żukowie spędziliśmy dwa dni. Nikt z naszej czwórki i znajomych kolegów tego nie pamięta. Do ogólnego wyczerpania doszedł jeszcze brak snu. Nic więc dziwnego, że w tych warunkach półświadomego istnienia pamięć i umysł nie działały.

Z Żukowa szliśmy do Pomieczyna - 15 km. Z tego odcinka też tylko fragmenty pozostały nam w pamięci. ZdziCHO pamięta, jak kilkunastu więźniów rzuciło się na rozpoczęty kopiec brukwi przy drodze. Skupili się w końcu kopca tam, gdzie był odkryty i zaczęli wygrzebywać ze śniegu i słomy zmarzniętą brukiew. Zostali wszyscy wystrzelani. Pamięta, jak ciała zabitych i rannych pomieszane ruszały się na dnie kopca, jakby falując. Pamięta również, jak zatrzymaliśmy się w jakiejś wsi. Miejscowi Kaszubi namawiali:

- Uciekajcie, ukryjemy was. Nie idócie na stracenie - Kilku udało się uciec. Między innymi Michalski Aleksander też uciekł, ale z mieszkania kaszuba zawrócił, aby ratować skabnącego brata.

Wielu więźniów nie chciało dalej iść, nie mieli siły. Kolega z naszej grupy z Lipna, Dunajski Jan również upadł i nie chciał wstać. Dunajski i Kolasiński podnieśli go i poprowadzili dalej.

Dochodzimy do Pomieczyna. Nocleg w kościele. Z Luckiem rozglądamy się po nawie kościoła. Wszędzie tłók. Wchodzimy na chór. Też ciasno, ale cieplej. Podłoga drewniana, w górze powietrze cieplejsze. Był dzień drugiego lutego. Przed wojną

było w tym dniu święto kościelne Matki Biskiej Gromicznej. Na dole ktoś zaintonował pieśń: "Serdeczna Matko". Orkiestra rozpakowała swoje instrumenty, wtórują do śpiewu. Śpiewają wszyscy Polacy. Około tysiąc głosów łączy się w potężną pieśń Niemcy z zewnątrz krzyczą: "Ruhe, ruhe" Nic nie pomaga. Biją kolbami automatów w drzwi, wreszcie strzelają. Śpiewamy dalej. Po tej pieśni śpiewamy "Boże coś Polskę". Pieśń potężnieje, a przy słowach:

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę wolność racz nam wrócić Panie
zda się wstrząsać murami kościoła. Niemcy w końcu zrezygnowali
Po prześpiewaniu kilku jeszcze pieśni układamy się do snu.

Rano kilka miejscowych kobiet wydaje nam ^{supl} przy drzwiach frontowych kościoła. Zupa mleczna, kartoflanka, otrzymujemy po pół litra i po kromce chleba.

Zdzicha kolega, Wąsicki Jan ze Skępego tłoczył się z innymi po zupę. Niemiec uderzył go kolbą karabinu w głowę. Dostał od tego uderzenia szoku nerwowego. Został zastrzelony na miejscu. Jeden czy też kilku kolegów ukryło się na strychu kościoła. Kiedy na apelu stwierdzony został brak, Niemcy przeszukali cały kościół. Po odnalezieniu ich na strychu zostali tam zastrzeleni.

Wiść o naszym marszu wyprzedza nas. "Sztutthof idzie" podawane jest jak hasło od wsi do wsi, od zagrody do zagrody. Ludność miejscowa gromadzi się przy drogach, chcąc nam udzielić pomocy chociaż w postaci chleba. Niemcy jednak nie dopuszczają. Krótco przed Lusinem jakaś kobieta nie zważając na krzyk ss-mana chce nam podać bochenek chleba. Strzał z pistoletu wali ją na ziemię.

Gdy dochodziliśmy do Lusina, jeden z moich kolegów z naszych warsztatów ciesielskich zwierza mi się, że w Lusinie ma siostrę i przed nią powinna na niego czekać. Rzeczywiście stała przy drodze i pomachała mu ręką. Nie wiem, czy w jakiś umówiony sposób dała mu znać, czy też przedtem skontaktowali się grypsami, w każdym razie zaproponował mi ucieczkę, mówiąc, że wieczorem przyjdzie po niego siostra, aby go wykupić i mogę z nim iść.

Dochodzimy do Lusina. W tym dniu przemaszerowaliśmy 22 km. Zakwaterowali nas w szkole. Było nam ciepło, chociaż ciasno. Śpialiśmy w ławkach i na podłodze. I tu niespodzianka: otrzymujemy po pół bochenka chleba i po trochu kawy. *Był to dowód, że nie jesteśmy w Niemczech*

Zbieram naszą czwórkę i mówię im o propozycji kolegi, chociaż

nie bardzo wierzyłem, że jest to możliwe. Wszyscy jednogłośnie mówią:

- Co się pytasz, idź. -

Popatrzyłem na nich:

- Nie, głupaki, albo cała czwórka, albo pozostaję z wami - Przewidywania kolegi okazały się słuszne. Około godziny 20-tej woła go ss-man do bramy. Przychodzi po chwili do mnie i mówi:

- Chodź, przyszedła po mnie siostra z burmistrzem, mówiłem im o tobie, możesz iść ze mną. -

Pokęciłem przecząco głową *Sam mi pozwoli, i znowu bo cała nam uciekła*
Poszedł jeszcze do bramy, po chwili przychodzi i mówi:

- Niestety, we czterech nie da rady. -

Odszedł, pożegnawszy się z nami. Wyszedłem za nim. Przez uchyloną furtkę zobaczyłem kobietę wiejską w chustce i Niemca w mundurze S.A.

Następnego dnia ostatni etap, Rybná, 19 km. Z tego etapu pamiętam tylko, że przechodziliśmy przez most i że po drodze zasłabł nam Zdzicho. Nie mógł iść o własnych siłach, prowadziliśmy go pod ręce.

W Riben zakończył się nasz marsz. Trwał 11 dni. Przeszliśmy około 140 km. Mroz, Wystawanie całymi godzinami nieraz w śniegu, a przede wszystkim głód, który dokuczał coraz bardziej sprawiły, że byliśmy w stanie skrajnego wyczerpania. Kto miał więkrze zapasy żywności, ten miał jeszcze siły. Myśmy w zasadzie prawie żadnych zapasów nie mieli. Te parę sucharów od księdza Sylwestra i miska grochu, którą Lucek zdobył, to było wszystko. Począwszy od Żukowa szliśmy półświadomie, obojętni na wszystko, półprzytomni, bezwolni. Kiedy po napisaniu brudnipisu konsultowałem z kolegami poszczególne fragmenty marszu, często padały słowa:

- Wiesz, ja tego nie pamiętam - albo:

- A czy pamiętasz, że?

Nie było to jednak zapomnienie z powodu upływu czasu, lecz po prostu w tym okresie wyczerpania te fakty nie docierały do naszej świadomości.

R I B E N

Riben, to mały obóz po opuszczony przez "hitlerjugeng" /hitlerowska organizacja młodzieżowa, zrzeszona w hufcach pracy/. Kilka baraków tworzy czworobok, którego jeden bok przylega do małego lasku sosnawego, odgradza tylko droga Niema drutów, nawet ogrodzenia, jedynie brama wjazdowa i płot przy drodze. W barakach łóżka trzypiętrowe, jak w Stutthofie, sienniki w łóżkach, po parę taboretów, piecyki żeliwne, wykładane szanotem.

Zajmujemy kwatery. Na łóżkach wszyscy nie mieszczą się. Z Luckiem uszykowaliśmy sobie spanie na sienniku między łóżkami. Na dzień siennik wsuwa się pod łóżko. Jest jeszcze kosz do opału, miska do mycia, wiadro.

Z aprowizacją źle. Po Niemczech pozostało ze trzy wozy brukwi i mały kopiec ziemniaków. Ziemniaki dla kuchni SS, brukw dla nas. Wystarczyło na trzy obiady rzadkiej zupy bez tłuszczu i soli. Rano i wieczorem kawa i to wszystko. Chleba nie dostawaliśmy wogóle, a po skończeniu brukwi przez parę dni była tylko kawa. Leżeliśmy na łóżkach, ograniczając ruch, aby jaknajmniej spalać kalorii, krzepiąc się na duchu kawalami i nadzieją. Gandi głodował przez 42 dni, wprowadzie pod szklanym koszem, jednak z głodu nie umarł, to i my wytrzymamy. Lucek tylko kręcił się po podwórzu, coś tam swoim zwyczajem węsząc i wywęszyć. Wpadł raz na salę przed południem i wołał mnie, nie mówiąc po co. Zabrał ze sobą mały parnik do opału. Wychodzę za nim. Na podwórzu ustawia się dwójkami kolumna po ziemniaki dla kuchni SS. Stajemy na końcu kolumny z parnikiem, bo każda para miała jakieś naczynie do ziemniaków. SS-man odlicza 10 par. My jesteśmy jedenastu. Odpycha nas. Chcę odchodzić zrezygnowany. Lucek jednak nie rezygnuje. Gdy kolumna ruszyła, chyłkiem podchodzimy do czoła, wciskając się w środek. Udało się. Bramę przekracza jedenaście par. Odkrywamy kopiec. Przebierając ziemniaki do koszy, ładujemy dla siebie gdzie się da. Za koszulę, do kieszeni. Zawiązałem sztywno troki od kałeson, pchan w nogawki. Przedziurawiłem kieszeń od jesionki. Wpychan ziemniaki za potrzewkę. SS-man udawał, że nie widzi. Wracamy do bloku obładowani, jak jeże jabłkami. Obaj

przynieśliśmy dobry kosz ziemniaków. Wystarczy na parę obiadów. Obieramy ziemniaki na obiad. Na obierki czekają głodni, też je ugotują.

Raportfuhrer obozu w Riben miał psa, owczarka alzackiego, który zawsze za nim chodził. Naszemu sztabowemu udało się przed apellem zwabić pieska do sali. Gdy wyszliśmy na apel, dwóch ^{1945 Holger} pozostało w sali. Zameldował ich, jako chorych. Po powrocie z apelu pies leżał na misce pościartowany. Raportfuhrer przez kilka dni wypytywał przy apelu, czy nie widział kto jego pupilka. Przepadł, jak kamień w wodzie. Wiadomo, jaki los czekał sprawców tego "zanachu stanu", gdyby się sprawa wydała. Z tym pieskiem to było jeszcze tak. Gdy napisałem brudnypis, napisałem, że ofiarą padł jakiś zabłąkany kundel. Gdy Zdzichu to przeczytał, sprostował:

- Coś ty zapomniał? To nie był żaden kundel, lecz owczarek alzacki, pupilek raportfuhrera! -

Skórę, która była zakopana głęboko na śmietniku, wyciągnęli młodzi chłopcy, przechowali w sobie tylko wiadomym miejscu, przynosili po kawałku, aby upiec w piecu nad ogniem. Zdzicha poczęstowali kawałkiem tego pieska. Mówił, że mu bardzo smakował.

Nie wszystkim udawało się jednak zdobyć trochę żywności. Byli głodniejsi od nas. Najgorzej znosili głód młodzi chłopcy. Wiadomo, młody organizm więcej potrzebuje. Niektórzy z nich przynosili ze śmietnika kawałki skóry końskiej, a nawet kopyta, przypiekali nad ogniem i gryźli młodymi zębami.

W parę dni po przybyciu do Rybna, komendant obozu, po porozumieniu się z wermachtem, wysyłał brygady robocze do kopania okopów przeciwzołgowych i umocnień. W początku ochotniczo, a gdy epidemia tyfusu zaczęła się rozszerzać, szli wszyscy, którzy mogli utrzymać się na nogach. Za pracę tą otrzymywaliśmy po litrze zupy z początku pracujący, a później wszyscy. Przeważnie brukiew, lub grochówka z czarnego grochu, w której trafiały się włókna końskiego mięsa z koni, padłych na froncie. Gdy jeszcze chodzili do pracy ochotniczo, uchwaliliśmy w naszej czwórce, że będziemy chodzić po dwóch na zmianę do roboty, aby zarobić po pół litra zupy na każdego. Pierwszego dnia poszedł do pracy Zdzicho, na rekonesans. Gdy wrócił na wieczór, skalkulowaliśmy, że to się nie opłaca, bo więcej organizm spali kalorii, jak ta zupa warta.

Od chwili wymarszu ze Stutthofu wieści ze świata nie docierały do nas. W pierwszych dniach marszu było słychać oddaloną kanonadę, później nie docierały do nas żadne odgłosy walki, a w ostatnich dniach, w okresie krańcowego wyczerpania, nie reagowaliśmy na żadne bodźce zewnętrzne. Po paru dniach pobytu w Ribben wróciła chęć do życia, a w związku z tym i zainteresowanie sytuacją na froncie. Od kolegów, wracających z roboty, słyszeliśmy, że w oddali słychać odgłosy walki, jednak doleń na zachód. Z tego wynikało, że w krótkim czasie znajdziemy się w okrążeniu. Pesymiści twierdzili, że Niemcy zdołają zorganizować obronę na umocnieniach wału pomorskiego. Wszyscy jednak twierdzili, że Gdańsk i Gdynia nie będą zdobywane w bezpośredniej walce, ale zostaną okrążone. Myśmy twierdzili zgodnie, że to już ostatnie miejsce naszego postoju, że nas już z tą gdzieś nie zdążą popędzić i to już niedługo wolność.

W tym czasie przybyła do naszego obozu grupa około 600 Żydów. Byli oni lepiej odżywieni od nas. Żydzi, po zorientowaniu się w sytuacji, zaplanowali ucieczkę. Jak już wspominałem, obóz nie był ogrodzony. Około 40 ss-manów wystarczyło do konwojowania nas w czasie marszu, ale było ich stanowczo za mało do strzeżenia w nieogrodzonych barakach. Do pomocy przydzielono kilkudziesięciu żołnierzy z folkszturmu. Byli to przeważnie miejscowi Kaszubi w starszym wieku, zmuszeni do podpisania folkslisty, oczekujący narówni z nami zakończenia wojny. Żydzi napewno o tym wiedzieli, w związku z tym mogli liczyć na powodzenie zaplanowanej ucieczki. Pewnego dnia, po apelu - apel odbywał się wcześniej, przed zmrokiem - Żydzi pozostali na podwórzu i zaczęli się naradzać. Pokrótkiej naradzie ruszyli biegiem z okrzykiem "hura" luką między barakami w pole. Wartownik zaczął strzelać. Jednego ranił. Zaalarmowani strażami pozostali wartownicy opuścili swoje stanowiska, biegnąc na pomoc w zagrożone miejsce. Żydzi zatrudniali się. Jak opowiadał Bolek Szarwiński, który stał z kilkoma kolegami w pobliżu uciekających, zostali zatrzymani kolbami wartowników, którzy usiłowali ich przekonać, aby zaniechali dalszej próby ucieczki, bo i tak zostaną wrzascy wysznelani. Żydzi jednak odpowiadali, że wolą zginąć od kół, jak śmiercią głodową. Dopiero na obietnicę komendanta, że wyżywienie poprawi się, uspokoili się i rozeszli do baraków.

W tym czasie kilku kolegów stało przy bramie. Wartownik z bramy pobiegł w zagrożone miejsce, pozostawiając bramę nie zamkniętą na klucz. Skorzystali oni z zamieszania. Po przejściu

bramy zniknęli w lesie. Jakie były ich losy, nie wiem. Chyba ucieczka powiodła się, bo tego dnia po tym zamieszaniu ponownego apelu nie było, aż normalnie rano. Przez noc mogli daleko zajść. Kaszubi napewno udzielili im schronienia.

Głód zaczyna dokuczać coraz bardziej. Kartofle już się skończyły dawno. Zbieramy się cała czwórka na naradę. Debatajemy:

- A może by tak grypsy wysłać? -

- Ale do kogo? Nie mamy tu krewnych ani znajomych.

- Słuchajcie, mamy tyle dowodów ofiarności i poświęcenia ludności Kaszubskiej, do nich wyslijmy.

- I tak bizimiennie? To niepewne.

- Kaszubi są bardzo religijni, przeważnie katolicy Wyszlij-grypsy do dozoru kościoła w Lusinie, napewno dojdą.

Co dzień jeździli więźniowie z eskortą do Luzina po zaopatrzenie dla kuchni SS. Grypsy z prośbą o paczki zaadresowaliśmy do dozoru kościoła w Lusinie, podając warunki, w jakich żyjemy, ~~eras-warunki, w jakich żyjemy~~ oraz nazwiska i numery całej naszej czwórki. Kolegom, którzy jeździli po żywność, udało się te grypsy podać.

Po tygodniu, może dwóch, w początkach mojej choroby na tyfus, dwóch więźniów, wracających z wartownikiem do obozu, - rąbali drzewo na opał u jakiegoś Niemca - spotkali starą kobietę, wracającą z paczką od obozu. Zapytali jej, dlaczego niesie paczkę z powrotem. Odpowiedziała, że wartownik nie pozwolił jej zbliżyć się do bramy i oddać paczkę, bo w obozie panuje tyfus. Paczkę chciała oddać siostrzeńcowi. Więźniowie zgodzili się oddać paczkę adresatowi, ss-man zezwolił i oddała im paczkę. Paczka była adresowana dla mnie. Jeden z nich nie znając mnie, chodził po podwórzu głośno wykrzykując mój numer i nazwisko. Usłyszał to Zdzicho i przyprowadził go do mojego łóżka. Rozłożyłem na kocu dużą paczkę. Był tam duży bochenek chleba razowego domowego wypieku, około pół kilograma mięsa wołowego, zmielonego na maszynie, trochę sera, marmolady i margaryny. Poprosiłem o nóż. Chleb przekroiłem na pół, wręczając połowę utrziwemu koledze, który przyniósł paczkę. Chciałem dzielić pozostałe produkty żywnościowe, ale podziękował. Resztę podzieliłem między naszą czwórkę. Nie pamiętam, ale chyba nie zjadłem swojej części bo miałem już za wysoką

temperaturę. Lucek też dostał paczkę. Również leżał chory na tyfus. Nie pamięta, kiedy to było i w jakich okolicznościach. Z fragmentów świadomości pamięta, że był w tej paczce duży bochenek chleba domowego wypieku.

Jak donoszą koledzy, wychodzący poza obóz, dalekie odgłosy walk jakby się powoli przesunęły na zachód i przybliżyły. To znaczy, że ofenzywa ruszyła naprzód, a więc i wolność się zbliża. Wyzwolenie staje się coraz bliższe i realniejsze. Ale zanim to nastąpi

Głód, złe warunki higieniczne, brak wody, a więc i możliwości dobrego umycia się, bielizna nie zmieniana od wymarszu ze Stutthofu - to wszystko spowodowało, że w obozie zapanowała epidemia tyfusu plamistego. Z naszej czwórki zachorowałem pierwszy. W pierwszych dniach wysokiej temperatury sądziłem, że to jest przeziębienie - skutki wystawiania na mrozie w śniegu w czasie marszu. Koledzy postarali się o aspirynę. Spożyłem dwa proszki. W nocy spociłem się tak, że nasza puczbwakołdra, prześcieradło i nawet siennik były mokre. Następnego dnia przyszedł lekarz. Nie badał mię, rozpiął tylko koszulę na piersiach. Stwierdził sine plamy na klatce piersiowej, nieodzowny znak tyfusu plamistego. Temperatura przekraczała 40 stopni.

I właśnie od tej pory następuje "przerwa w życiorysie". Z tego okresu pozostały mi w pamięci tylko fragmenty. Przeniesiono mię do t. zw. szpitala. Warunki w baraku szpitalnym różniły się od pozosrajnych tylko tym, że było tu ciepło, leżeliśmy na łózkach tylko w kałesonach, bez koszul i na każdej sali był salowy, który się nami opiekował. Lekarstw żadnych nie było.

A oto kilka fragmentów, które mi z tego okresu pozostało w pamięci. Gdy miałem odchodzić do szpitala, zgłosił się do mnie jakiś krawiec. Miałem ciepłe księżowskie spodnie z czarnego sukna. Ksiądz musiał być przy dobrej tuszy, bo były w pasie tak obszerne, że mógłbym się nimi dwa razy okręcić. Zaproponował mi kupno tych spodni. Gdy się trochę wahałem, czy sprzedać, czy nie, mówi:

- Na co ci spodnie, kiedy leżysz w łóżku? -
- Też prawda - pomyślałem.

I targ w targ sprzedałem spodnie za pajdkę chleba. Krawiec spodnie te zużył na czapki dla kolegów, którzy planowali ucieczkę. Pajdkę tą podzieliłem na cztery części, aby się podzielić z kolegami.

Chyba następnej nocy wydaje mi się, że jestem w posiadaniu bardzo ważnej tajemnicy wojskowej, której ujawnienie spowoduje zakończenie wojny. boję się, że zapomnę. przychodzi ss-man sprawdzać stan więźniów. Wyciągam chciwie rękę po ołówek, aby tą tajemnicę zanotować. Dał mi go. Namazałem tam coś na nodze łóżka zadowolony. W nocy wstałem z łóżka, widzę za oknem jasność. To wolność. Wyciągam ręce przed siebie i idę w tą wolność. Rano nasz salowy mówi do mnie:

- Chłopie, coś ty ^{też} dzisiaj w nocy wyrabiał!

Pamiętam paczkę, ^{też} co opisałem.

Pamiętam, że leżę w łóżku ze starszym wiekiem kolegą z Lipna, Czajką. Ja leżałem od brzoza. Coś tam majaczył nieprzytomnie. Prosił o wodę. nie pamiętam, czy mu podałem, ale rano, gdy się obudziłem, był zimny i sztywny. Odziedziczyłem po nim łyżkę aluminiową z wypunktowanym monogramem. Już pod koniec tyfus na łóżku obok leżał kolega ze stolarni. Spaliśmy w łóżkach po jednym, miejsc wystarczyło! Majaczył. Nie poznał mię. Rano też był zimny i sztywny.

Z naszej czwórki na tyfus chorowali wszyscy. Zdżichu wyzdrowiał pierwszy. Miał znajomego lekarza, który dawał mu po trochu lekarstw ze swoich skromnych zapasów.

Temperatura przeszła. Wypisują mnie ze szpitala. Takich jak ja było kilku. Ładują nas na sanie i jedziemy na stację kolejową, gdzie stał wagon - łaźnia. Początek marcu. Wiał silny mroźny wiatr, padał śnieg. Po wykąpaniu otrzymujemy bieliznę, dla dezynfekcji umoczoną w jakimś płynie mlecznego koloru dla dezynfekcji, ubranie i koc. Ubraliśmy się tylko w marynarki i ~~koszule~~ podnie. Z bielizną pod pachą nakryci kocami wracamy do bloku. Ss-man wprowadził mię z nieznanym mi kolegą do dużej, pustej sali. Niema łóżek, sienników, nic. Gołe ściany. Skręcamy mocno bieliznę, aby wycisnąć jaknajwięcej wody następnie kładziemy ją na podłodze, okrywamy kocem, a drugim przykrywamy się szczelnie i przytuleni do siebie przetrwaliliśmy do rana, szczękając zębami.

Ranem przychodzi ss-man i goni nas na apel. Wkładamy nawpół mokrą bieliznę, na to ubranie, nakrywamy się kocami i stajemy na apel. Po apelu cała kolumna w prawo zwrot, otrzymujemy

łopaty i wymarsz do odsnieżania okopów. Wyprowadzili nas na pole niecały kilometr za obóz. Mamy odsnieżać rowy strzeleckie. Dzień był słoneczny, ale mroźny. Niedochnięta bielizna ziębi, w końcu zimno przenika do szpiku kości. Trzęsę się i kostnieje z zimna. Wykopałem dół w okopie, aby się do niego schronić przed wiatrem. Nie mam siły udźwignąć łopaty. Koledzy od czasu do czasu rozgrzewają mię, rozcierając mięśnie. Jażesz ten czas się dłuży! dotrwałem wreszcie do fajrantu t. j. do godz. 15-tej. Nie mam siły wyjść z okopu. Koledzy wyciągnęli mię i poprowadzili do obozu. Trochę się rozruszałem. Na podwórzu obozowym dwóch kolegów z warsztatów ciesielskich - Rosjan - niesie kocioł gorącej kawy z kuchni. Nie wytrzymałem nerwowo. Zaczepiłem z kotła miskę gorącej kawy. Jeden z nich powiedział:

- Wot, kak nie kulturno! -

Pewnie, że niekulturalnie, ale wola przeżycia była silniejsza.

Teraz przeszedłem na nasz blok. Zostałem tam kilku znajomych. Dowiedziałem się, że leżą tu chorzy na krwawą biegunkę. Dowiedziałem się również, że moi koledzy żyją, ale są jeszcze chorzy. Jako chorzy następnego dnia do pracy nie idziemy. Ja również dostałem biegunki. Leczenie biegunki naszym prymitywnym obozowym sposobem polegało na zastosowaniu głodówki, piciu gręczów z kawy zbożowej, oraz jedzeniu sproszkowanego węgla drzewnego. Stosuję się ściśle do tych przepisów.

Nie pamiętam, następnego dnia, czy też po dwóch dniach słyszemy z bliskiej odległości kilka pojedynczych strzałów z działa czołgowego. Po chwili wchodzi rozpromieniony jeden z kolegów z okrzykiem:

- Chłopcy, Niemcy uciekli, wolność! -

Kto się czuje na siłach wychodzi na podwórze. Atak na kuchnię, na magazyn. Przynoszą na salę worek cukru, ćwiartkę wołowiny, makaron, marmoladę. Wszyscy jedzą: makaron surowy, cukier, marmoladę. Wstawiają w naczyniach, jakie posiadamy i ile się zmieści na piec mięso wołowe do ugotowania. częstujamię. za marmoladę podziękowałem, pojadłem trochę makaronu i cukru

Koledzy z pracy nie powrócili do obozu. Prowadzili ich Ukraińcy i popędzili dalej. Według relacji kolegi Michalskiego Aleksandra, Gdy się zbliżał front, Ukraińcy zatrzymali kolumnę i oświadczyli im, że puszczają ich wolno pod warunkiem,

że nie będą ich ścigać. Po uzyskaniu zapewnienia, że nie będą ścigani, zniknęli w lesie, jednak wkrótce zostali schwytani przez Żołnierzy Radzieckich i doprowadzeni do kolumny więźniów. Żołnierze zapytali, jak się Ukraińcy zachowywali. Więźniowie odpowiedzieli zgodnie z prawdą, że wprawdzie wypuścili ich wolno, ale w czasie marszu strzelali do ludzi. To zadecydowało o ich losie. Faszyci Ukraińscy zostali rozstrzelani na miejscu.

O zmroku zatrzymał się przed bramą czołg. Załoga czołgu częstowała nas, czym kto miał: słoniną, chlebem. pożegnali nas słowami:

- Idijcie damj! -

W nocy nikt nie spał. Po spontanicznych wybuchach radości, uściskach wzajemnych, nawet niektórzy płakali, chłopacy znosili z magazynów różne rzeczy. Między innymi był w magazynie długi zapas spodni wojskowych. Kto miał podarte spodnie, wymieniał na wojskowe.

Rano odnalazł mnie Zdzichu. Był silniejszy odemnie. Poszliśmy na poszukiwanie Lucka i Zbyszka. Leżeli na jednej sali. Wprawdzie już po tyfusie, ale jeszcze za słabi, aby mogli wstać. Naradzamy się, co robić. Luck i Zbyszek radzą nam iść do domu. Teraz nic im już nie grozi. Zaopiekują się nimi władze polskie, lekarze.

Decydujemy się na opuszczenie obozu. Wychodzimy ze Zdzichem. Dołącza do nas jeszcze jeden kolega, znajomy Zdzicha ze Skępego. Za obozem przy torze jest budka strażnika kolejowego. Wchodzimy. Przy stole siedzą oficerowie radzieccy, gospodyni smarzy na patelni konserwę mięsną z jajkami. Częstujanas. Pachnie smakowicie, my jednak boimy się jeść. Podziękowaliśmy, idziemy dalej. Na skrzyżowaniu dróg żołnierz polski. Kapral. Mój Boże! jaka radość na widok polskiego munduru! Podchodzimy do niego, ciekawi nowin. On jednak nie maczasu. Spiesz się. Żegna nas słowami:

- Cześć chłopaki, jesteście wolni! -

Wchodzimy do wsi. Po prawej stronie piętrowy dom, od frontu sklep spożywczy, w podwórzu zabudowania gospodarskie. Tu się zatrzymujemy. Wchodzimy do kuchni. Wita nas dziewczyna z literą P na piersi. Gospodarze, Niemcy, uciekli, jest sama w gospodarstwie. Szybko się nami zaopiekowała. Zagrzała wody do mycia. Umyliśmy się. Zabiła kurę, ugotowała rosółu z makaronem.

To możemy jeść. Po obiedzie zaprowadziła nas na piętro, do sypialni Niemców. Łóżka już zbążyła zasłać, bieliznę pościelową zmienić. Kładziemy się spać. Nie możemy zasnąć, za wygodnie. Po dwóch latach pierwszy raz w wygodnym łóżku, pod pierzyną. Pierwsza noc na wolności.

Następnego dnia wstajemy wypoczęci. Koledzyzałożyli parę koni do wozu dębiniego. Dla mnie uszykowali posłanie ze słomy, dwie pierzyny. Weszliśmy jeszcze do sklepu zaopatrzyć się w żywność. Przy okazji zważyliśmy się na wadze dziesiętnej. Ważyłem 35 kg. w ubrania.

Z Luckiem i Zbyszkiem było jednak gorzej, jak się wydawało przy pożegnaniu. Gdy spotkaliśmy się poraz pierwszy po wojnie, Luckek wogóle nie pamiętał, żeśmy go odwiedzili przed opuszczeniem obozu. Kiedy naprawdę odzyskał przytomność i świadomość, przeraziła go grobowa cisza, panująca na sali. Na łóżkach trupy i nieprzytomni. I ta cisza. Przerazająca cisza. A nad łóżkami zda się unosić śmierć. Ogarnął go strach. Uciekać stąd. Uciekać jaknajszybciej, jaknajdalej. Zwłókł się z łóżka, odszukał Zbyszka. Był przytomny, ale słaby. Nie chciał się ruszyć z miejsca. Luckek poszedł na rekonesans. Wyszedł za obóz. W pobliżu znalazł opuszczony dom. Wrócił do obozu. Zbyszek nie chciał wstać. Zmusił go do wstania i zaprowadził do opuszczonego dęmu. Zbyszek położył się na otomane z azraz zasnął. Luckek napalił w piecu i też się położył. Obaj nie pamiętają, jak długo spali, czy też byli w półśnie. Luckek pamięta, że przyszli do nich dwaj żołnierze radzieccy, napalili w piecu i poszli. Za parę dni przybyli dawni właściciele, czy też osadnicy, którzy odwieźli ich do szpitala w Wejcherowie.

Bolek Szarwiński opuścił obóz zaraz tego wieczoru po wyzwoleniu. Wyszło ich razem sześciu. Przygotowali kolację, najedli się do syta. Bolek był jednak ostrożny, jadł niewiele, bał się biegunki. Wszyscy zachorowali na krwawą biegunkę. W nocy dwóch zmarło. W następnej nocy zmarło także dwóch. Pozostało ich dwóch. Pochować zmarłych kolegów nie mieli siły. Opuścili ten dom, zakwaterowali w innym, pustym. Bolek odnalazł w wekach gotowaną kurę. Sporządził z tej kury kotlety mielone. Sam zjadł jednego i jednego dał koledze. Ten jednak dopominał się więcej. Gdy mu nie dał, żalił się:

- Co mi żałujesz? Tyle czasu głodowałem i jeszcze nie da mi się najeść. -

Nie dał mu jednak, wiedząc, że grozi to śmiercią. Kiedy zasnął, kolega jego wstał i zjadł prawie wszystkie kotlety ale do rana już nie żył.

Pozostał sam. Wyszedł na drogę szukać jakiejś okazji do najbliższego miasta. Był chory na krwawą biegunkę. Bał się, że bez opieki lekarskiej nie wyżyje, tymbardziej, że zaczęły mu puchnąć nogi i opuchlizna stopniowo opanowywała całe ciało. Spotkał na ulicy więźnia zdrowego i silnego jeszcze. Pochodził z Warszawy. Piekarz z zawodu. Martwił się, że piekarnia jego napewno zbombardowana i z czego on teraz będzie żył. Kiedy Bolek zaproponował mu wyjazd, nie chciał o tym słuchać. Chodził po wsi i znosił do zajętego przez siebie mieszkania różne wartościowrze rzeczy i materiały. Szafę miał zapchaną ubraniami i towarami tekstylnymi. Poszedł zaraz na wieś. Po paru minutach wracał, niosąc na rękach dość dużą i ciężką skrzynię, opartą kantem na brzuchu. Gdy wchodził po schodkach do zajętego przez siebie mieszkania, stracił równowagę i upadł na wznak. Już więcej nie wstał.

Nadjechała wreszcie furmanka konna z jeźcami niemieckimi, konwojowanymi przez żołnierzy radzieckich. Jechali do Lemborka Bolek prosił, aby go zabrali ze sobą. Żołnierze polecili Niemcom, aby mu pomogli wejść na wóz i posadzili w możliwie wygodnym miejscu. W Lemborku dowieźli go do szpitala. Dzięki usilnym staraniom lekarza Niemca, dopiero po paru tygodniach powrócił do domu.

Tak zakończył się nasz tragiczny marsz zwany w historii Stutthofu marszem śmierci. Był 12 marca. Ilunas ocalało z tego tragicznego marszu? nie dało i nie da się ustalić. W Rybnie jest tablica pamiątkowa. Na wspólnej mogile pomordowanych i zmarłych kolegów. Spoczywa w niej około 800. Cała trasa naszego marszu gęsto usiana mogiłami pomordowanych. Wielu jeszcze zmarło po drodze przez własną nieostrożność - czy nieświadomość. Możemy śmiało przyjąć, że ponad 50% kolegów z naszej grupy nie powróciło do swych domów.

Według oficjalnych danych muzeum Stutthof na ogólny stan rejestrowanych więźniów 120 tysięcy w obozie Stutthof i podobozach zginęło około 85 tysięcy w tym w czasie ewakuacji około 20 tysięcy.

Wkrótce po wyzwoleniu Lucek wybrał się na wycieczkę z żoną. Jechali motocyklem brząsą naszego marszu. Gdy zatrzymali się w Lusinie, żona jego, Regina, widząc w ogródku jednej zagrody dojrzące czereśnie na drzewie, wstąpiła kupić kilogram. Właścicielka zagrody, widząc obcą, nawiązała z nią rozmowę. W wyniku tej rozmowy dowiedziała się o celu ich wycieczki. Przyniosła z domu grubą zeszyt i podała go Reni. Były tam nazwiska więźniów Stutthofu, którym mieszkańcy Lusina udzielali pomocy w czasie naszego pobytu w Rybnie. Renia odnalazła w nim gryps Lucka, który wysłał z Rybna do dozoru kościoła w Lusinie. Przytaczam treść tego grypsu:

Wielebny Dozorze Kościoła ! Troska o dzieci nasze, które powinniśmy wychować zmu za nas ludzi zdolnych do pracy, do prośby o jałmużnę. Znając ofiarność i współczucie dla nas wśród społeczeństwa Lusina zwracamy się z wielką prośbą o udzielenie nam jakiegokolwiek pomocy. Wymagania nasze są skromne: chleb, kasza, groch, kartofle /surowe/ itp. Paczki z adresem /jeden z niżej podanych/ mogą podjąć nasi koledzy, którzy co parę dni bywają w Lusinie.

Zaofiarne uwzględnienie naszej prośby składamy z góry serdeczne podziękowania. W ew. paczki prosimy ofiarodawców załączyć swoje adresy, byśmy, jeśli Bóg zezwoli, mogli osobiście złożyć nasze podziękowania.

Adres: dawny arbeitsdienstlager Rügen

1. Grefkowiec Zygmunt Nr. 23172
2. Małkiewicz Zdzisław Nr. 24429
3. Kendzierski Lucjan Nr. 97466
4. Klubiński Zbigniew Nr. 102657

p.s. Jesteśmy wszyscy czterej polacy z okolic Lipna.

Rügen, dnia 16.2.45 r.

Renia zawołała Lucka. Lucek odnalazł mój gryps - grypsy były jednakowej treści - następnie poszła do pobliskiego sklepu spożywczego. Przy butelce wina i czekoladzie wspominali tamte dni.

1/3. Inne materiały dokumentacyjne: Grefkowiś
Zygmunt

1. Oświadczenie Gustawa Ignacego Olsewskiego
z 25.10.1975 r. o działalności konspiracyjnej
Zygmunta Grefkowiśa, rep. omg. k. 1 s. 1



Oświadczenie

Ja niżej podpisany Gustaw Ignacy Olszewski ps. „Gacjan” świadomy odpowiedzialności karnej za prawdziwość podanych niżej przez mnie faktów, legitymowany się dowodem osobiście Nr 57 282 0857 wydany KMMO Gdańsk, zam. Gdańsk Hoeszer ul. Gornowaldzka 131^a m. 6 Kod 80-264 - oświadczam:

Ob. Zygmunt Grefkowiec ps. „Lis” i „Kludziński” urodzony dn. 31.01.1909 r. syn Jana i Franciszki, zam. w Kludzie, gm. Klutów, był członkiem i konspiracyjnej organizacji ZWZ (Związek Walki Zbrojnej), a po unifikacji w AK (Armia Krajowa) jako zaprzysiężony członek pełnił funkcję kierownika przesłuchań do Generalnej Gubernii, ~~na jego zorganizowanie~~ przez Hipocrytę i Tychlik, mające zorganizowaną ekipę, ~~osobiste~~ od niego samego zamieszkanie - ~~osobiste~~ p do punktu przesłuchań zabezpieczeń i prowadził stenogramy konspiracyjnych.

Ob. Grefkowiec swoją działalność rozpoczął na jesieni 1940 r. i pełnił jej dziełnie i byłowo aż do ^{dnia} aresztowania go. W czasie śledstwa nie wydał nikogo.

Rekwerent K.O., Lwosta' L. dr. 225 / i 2.2. W. J. i 1945 ob.

Zygmuntowi Grefkowiemu nadano za jego działalność i patriotyzm i zasługi Krzyż Walecznych.

1-1 Gustaw Olszewski ps. „Gacjan”
Szef Szeregowości WK Szalen Obrocy Pomorski
Wojpł. „Reich”. był oficer ZWZ i AK.

II. Materiały uzupełniające relacje: Grefkowiace
Zygmunt

1. Helena Augustowska, biogram Zygmunta
Grefkowiace, ręk. oryg.

k. 1 s. 1-2

2. Helena Augustowska, biogram Zygmunta
Grefkowiace, [4:] Str. biograf. konspiracji
pomorskiej 1939-1945, Wyd. FRPAK t. X,
Tomii 1996, z. 2 s. 71-73 kserokop.

k. 1 s. 3



Biogram

Grefkiewicz Zygmunt ps. „Lis” Chudziński (1909-1944?) - AK ob. Lipno¹

urod. 31.01.1909 w Chudzewie gm. Chaliń. rolnik, s. Yana i Franciszki zamieszkały w Chudzewie pow. Lipno. Wykształcenie średnie. Był członkiem ZNZ AK - zaproszony przez ustawa Obwodowego ps. „Gracjan” - szefa Łączn. V-Kom. Sztabu Okr. Pomorze.

Był komendantem Placówki na gm. Chaliń. Grefkiewicz pełnił jedn. funkcję kierownika przerzutni do generalnej Gubernii przez Wyszogród i Żychliń. Od miejsca swego zamieszkania do punktu przerutu osobiste zabezpieczał i przewoził członków Konspiracji. (do dyspozycji szefa Sztabu, szefa łączności i dywersji Okręgu)

Na terenie Placówki posiadał 3 kwatery stałe^x w tym jedną z łącznikiem i komną obsługi, był ~~zabójcą~~ Zabłotowicz Roman w Kol. Chaliń. w kierunku ~~dobrym~~ w/w.

II-ga kwatera we wsi Czartowa - położonej przy granicy powiatu Płockiego t.zw. G.G. - ujęciowy składowy

III - cia we wsi Trzciańka - u Chrabaszczyńskiego stan oraz ~~punkt~~ ^{punkt} ~~chwilowa~~ - wyzakiwania na Łęzińskie z zebraniem z kwater materialni -

Pracownicy Sztabu Kol. Chaliń - kierownik Skępe Lipno - Siemse ~~Łącznik w rozkazach. Baranowski łącznik, Pracha Sobini, Złobowska Henryka, Łącznikowa jako podporządkowana obok Antonia; Baranowski Edmund ps. „Kruk” i inni Łącznik, osoba przy łączniku, przekazywał u ~~Konrad~~ ^{Konrad} ~~do woli~~ ^{konspiracyjnego} ~~przesłany~~ ^{przesłany} ~~głównym~~ ^{głównym} ~~byli~~ ^{byli} ~~okazali~~ ^{okazali} ~~Chyliński~~ ^{Chyliński} ~~nie~~ ^{nie} ~~uważali~~ ^{uważali} ~~tylko~~ ^{tylko} ~~wewnątrz~~ ^{wewnątrz} ~~kompaty~~ ^{kompaty} ~~osobny~~ ^{osobny} ~~Komandy~~ ^{Komandy} ~~okręgu~~ ^{okręgu}~~

Istniała między tymi dwoma rodzinami umowa, gdy ktoś zapukał do Grefkowicza, goście z komendy przechodzili do Baranowskich i odwrotnie. W razie nieprzejścia była szansa ucieczki, wgl. skrycia się na strychu.

Pewnego razu od łącznika podpos. Oloha Rubinie otrzymał ostrzeżenie że przez cały bieżący tydzień, będą specjalnie strzeżone, przez Niemców mało uszczuplane drogi, ścieżki, miedze, a w niedziele będą rewizje u wszystkich Polakach. Wiadomości pochodziły z wiadomości z Łódki, ponieważ żona Łącznika obok Antoniego pracowała w Urzędzie Gmin, znając język niemiecki. ^{patrzyła rozmawiając}

W tym właśnie czasie pomysł ~~został~~ ^{został} ~~złożony~~ ^{złożony} ~~nieznajomego~~ ^{nieznajomego} ~~osobnika~~ ^{osobnika} a był nim szeryfeliści Józef Kurier, Komendy Okręgu Pomorze z ważnym meldunkiem do Komendy Głównej. Prapomysł Łącznika Baranowskiego, Edmund ps. „Kruk” ^{przekazywał} ~~przekazywał~~ ~~do~~ ^{do} ~~Zabłotowicza~~ ^{Zabłotowicza} ~~Romana~~ ^{Romana} ~~Kwatera~~ ^{Kwatera} ~~do~~ ^{do} ~~dyspozycji~~ ^{dyspozycji} ~~szefa~~ ^{szefa} ~~Łączn.~~ ^{Łączn.} ~~K. Okr.~~ ^{K. Okr.} ~~Pom.~~ ^{Pom.}

We wrześniu 1944 r. Grefk. został aresztowany. Łącznik ze Skępego nie edg. ^{dotręć} ~~dotręć~~ ~~przez~~ ^{przez} ~~aresztowanie~~ ^{aresztowanie}.

Uwagi i wnioski:

Baranowski Lucyna ps. "Handa" ur. 1921r. w Chudzewie pow. Lipska
s. Antoniego i Kazimierzy

Ukończyła Szkołę Gospodarską Domowego Wzrostu w Trepowie ~~pl. Staszkowskiej~~ 1939.
Jako córka rolnika przed wojną pracowała w gosp. rolnym rodziców
w Chudzewie gm. Chelmin.

Była członkiem kole Młodzi i Niepochybi "Srebr"

W czasie okupacji pracowała w gosp. rolnym rodziców
od marca 1940 r. z nakazu Arbeitsamtu zmuszona do
pracy w gosp. rolnym u rodziny w Sencen Wielchem. pow. Lipska
do ZwZ AK zamieszana w marcu 1942r. przez Grefkowicza
Zygmunta, ps. "Chudziński". Komendantka placówki AK Chelmin

Była łączniczką i przeprowadzała na wskazywane kwatery
powierzonych osobników jak: Chylińskiego, Kłozewskiego
i Michałskiego - majora z Warszawy. Mieszkała w Chudzewie
K. ołata Grefkowicza i Baranowskiej w spółkę w której z nią
dzielili tylko koszty. Wynajmowała ^{osobnik} z Konsendy

często przebywała u Grefkowicza. Była także uńowa, jak gdy
ktoś zapukał do Grefkowicza, Grefka z Konsendy wemstny
korytarki przechodzili do rodziny Baranowskich
i odwrotnie. W czasie nieprzyjaciela były także ocause niecalki
Przenosiła również tajne materiały koksiracyjne
do poniesionych kwatery Były to bardzo trudne zadanie

do oznaczonego punktu, np. w
wzrostu były leciekaki kowalczak

Wobec odbywania ^{podpis protokołar} w czasie gościn ^{podpis przewodniczącego}
razem - 3-4 razy w tygodniu wieczorem, ^{zobrania}
prócz innych politycznych ^{zobranie} ^{zobranie} ^{zobranie}
jedyną rzec tylko przewoziła oficjalnie w biurowym dniu
Łączniczką z rodziny ^{rodzina} Kłozewskiego do Kłostarka.

Konna furmanka.
Czasami w domu wysadkami pomagadeta ukrywają się szatki
koksiracji na teren pow. Pielichy 1.20.66.
paniczon gm. Chelmin granicze 266.

Uwaga: wypełnić czytelnie w 3 egz. z tego 1 egz. przesłać do ZW TKKF
1 egz. do ZM TKKF z danego terenu, 1 egz. do a/a.

Po wojnie Lucyna Baranowska wyszła ze wuz za Augustowskiej
Stapielewa rolnika, w Chudzewie gm. Chelmin, gdzie
wspólnie prowadzić gosp. rolnic. Mag. w.w. zmaszt w r.
Lucyna Augustowska ^{rodzina} ^{rodzina} ^{rodzina}

H A
(Helena Augustowska)

Grefkowicz Zygmunt ps. „Lis”, przybr. nazw. „Chudziński” (1909–1979), kmdt Plac. Chalin, Obw. Lipno AK.

Urodzony 31 I 1909 r. w Chudzewie, pow. Lipno; syn rolników Jana i Franciszki. Ukończył 8 klas gimnazjum w Lipnie. Od października 1939 r. należał do Polskiej Organizacji Zbrojnej. Do końca 1939 r. zajmował się kolportażem „Iskry”. Do ZWZ został zaprzysiężony na pocz. 1940 r. przez Gustawa Olszewskiego ps. „Gracjan”, późniejszego szefa łączności Kmdy Okręgu Pomorze AK. Mianowany przez niego kmdtem Placówki na gm. Chalin, a od końca 1940 r. jednocześnie kierownikiem przerzutów członków konspiracji pomorskiej do Generalnego Gubernatorstwa przez Żychlin i Wyszogród. Przy pomocy swojej siostry Kazimiery Bartczak i jej męża, zamieszkałych w Płocku–Radziwie, osobiście zabezpieczał i przewoził powierzonych mu ludzi od miejsca swego zamieszkania do punktu przerzutu. Na terenie swojej Placówki miał 3 stałe kwatery: 1 — u Romana Zabłotowicza, zamieszkałego w Kolonii Chalin, będącego łącznikiem (z obsługą konną) do dyspozycji szefa Sztabu, szefa łączności i wywiadu Kmdy Okręgu; 2 — u Kamili Górzyńskiej we wsi Czartowa, leżącej w sąsiedztwie z pow. Płock; 3 — u Stanisławy Chrabąszczewskiej zamieszkałej w Trzciance (w zabudowaniach pod lasem). Korzystał też z punktu kontaktowego Saby i Stanisława Prackich na trasie Kownica–Chalin–Turza i Wilcza–Jasień–Skępe–Lipno. W domu Grefkowicza często przebywali Józef Chyliński ps. „Rekin” (i in.), szef Sztabu KO, a także Gustaw Olszewski ps. „Gracjan”. Zabezpieczeniem w razie zagrożenia była możliwość przejścia do sąsiedniego mieszkania Lucyny Baranowskiej, łączniczki Grefkowicza i Edmunda Baranowskiego ps.



„Słownik biograficzny konspiracji pomorskiej 1939-1945”, Wyd. FABRIK t.X, Tomu 1996, z.2. 71

„Kruk”. Stąd była szansa ukrycia się na strychu lub ucieczki, dzięki czemu udało się ukryć, a następnie przerzucić na kwatery Romana Zabłotowicza m.in. Józefa Szczygielskiego, kuriera KO, przewożącego meldunek do KG AK.

We wrześniu 1944 r. Grefkowicz został aresztowany przez gestapo, ponieważ łącznik ze Skępego nie zdążył z ostrzeżeniem. W śledztwie zachował się godnie, nie zdradzając żadnego nazwiska spośród współkonspiratorów. Został zesłany do obozu koncentracyjnego Stutthof, gdzie przebywał do wyzwolenia wiosną 1945 r. Po wojnie zamieszkał znów w Chudzewie, zajmując się gospodarstwem rolnym. Zginął w wypadku drogowym 20 X 1979 r. w Chudzewie.

Odnznaczony Krzyżem Walecznych (1945).

AP AK, T.: Chyliński J., Grefkowicz Z., Olak L., Olszewski G.

Helena Augustowska

III/3. Materiały dotyczące okresu
okupacji: Grefkowicz Zygmunt

1. Delacja Zygmunta Grefkowicza, w sprawie
pomordowanych przez Jagdkommando w
Sierpie, mpis oryg z sierpnia 1979 k. 2 s. 1-2
2. Delacja Gustawa Ossewskiego
przeprisanie z mpis. przez Z. Grefkowicza,
mpis kop. k. 6 s. 3-8



R e l a c j a

w sprawie pomordowanych przez Jagdkomando w Ligowie.

Na skrzyżowaniu dróg, naprzeciw kościoła w Ligowie jest pomnik ku pamięci pomordowanych. Na tablicy niema jednak podanej przybliżonej ilości pomordowanych. Z relacji mieszkańców, głównie b. sołtysa Falkowskiego wynika, że było ich ponad 60.

Udało się ustalić nazwiska i okoliczności, w jakich zginęli, według poniżej podanego wykazu. Dokładniejsze dane powinny znajdować się w Prokuraturze, ponieważ po wyzwoleniu było przeprowadzane śledztwo w tej sprawie. A oto wykaz:

1. Bednarska Cecylia, nazwisko panięskie Grębska, ur. w 1905 r. w Dobaczewie. Zamordowana za to, że nie wydała miejsca pobytu męża, który się ukrywał przed wywiezieniem na przymusowe roboty. Była w ciąży i to było dostatecznym dowodem, że się z mężem spotykała.

2. Bednarski Eugeniusz, lat 20, ukrywał się przed wywiezieniem na przymusowe roboty.

3. Chętkowski Antoni, lat 40. Zamordowany za to, że nie radził sąsiadce, Niency, meldować żandarmon o tym, że byli u niej nieznanymi mężczyźni, żądając chleba i słoniny. Wszyscy w.w. zamieszkiwali w Malanówce, gm. Ligowo, zamordowani 13 września 1944 r.

4. Franciszek Wierzchowski, lat 36, 5. Stanisław Serwach, lat 35, 6. Jan Lewandowski, lat 22, 7. Jan Olejniczak, lat 19, 8. Andrzej Byliński, lat 41, 9. Kazimierz Wojnowski, lat 44. Wszyscy pochodzą ze Źródeł, gm. Ligowo, zamordowani w dniu 17 października 1944 r. za to, że udzielali pomocy w formie żywności nieznanemu osobnikowi, podającemu się za partyzanta.

10. Kisielewski Stanisław, lat 41, zam. w Kukowie, gm. Skępe, 11. Wacław Pilewski, zam. w Tłuchowie, 12. Czesław Paprocki, lat 24, zam. w Osieku, gm. Ligowo. Zamordowani w dniu 24 grudnia 1944 za to, że ukrywali się.

13. Franciszek Bonewicz lat 31, 14. Kazimiera Żurawska, lat 52, 15. Jadwiga Żurawska, lat 28, 16. Józef Żurawski, lat 18 zam. w Rokiciu, gm. Ligowo. W bunkrze, w lasach Skępskich, w czasie przeprowadzania ćwiczeń z bronią, Józef Żurawski został ranny w nogę. Gdy wrócił do domu, ojciec zawiózł go do lekarza w Skępem. Lekarz, Nieniec, oddał go w ręce Gestapo. Tłumaczył się, że został postrzelony w lesie przez nieznanego osobnika. Uciekał z robót. W tym czasie Niency złapał jakiegoś mężczyznę, podającego się za partyzanta, który wydał, w jakich okolicznościach Żurawski został ranny. Niency wymordowali całą rodzinę Żurawskich, jak również 17. Konczalskiego Stanisława w dniu 23 grudnia 1944 r.

Ponadto zostali wymordowani: Józef Dziergowski, lat 32, Jan Dobrzeński, lat 26, Julianna Kaźmierkiewicz, lat 64, Pelagia Kowalska, lat 62, zamieszkała w Źródłach, zginęli we wrześniu 1944r. W dniu 13 września 44 r. Władysław Barcikowski, lat 20 z Osieka, Bednarz Piotr i Krajewska z Malanowa. W dniu 25 grudnia 44 r. Helena Badaczewska lat 54 Teofil Bruszkiewicz lat 24. Przyczyn mordu nie ustalono.

Większość pomordowanych nie zginęła od kul. Mieli zmasakrowane twarze i połamane kończyny.

Rodzina Kalinowskich z Jasienia w tej relacji pominięta, ponieważ relację w tej sprawie przesłałem poprzednio. Obszerny materiał w tej sprawie posiada pan Michalski Zygmunt, emeryt, zam. w Lipnie, ale przebywa obecnie u córki w Bydgoszczy.

Relacje zebrał od mieszkańców Ligowa i okolicy, oraz z tablic nagrobkowych na cmentarzu w Ligowie.

Sierpień 1979 /-/ Zygmunt Brętkowicz.

Dalne ofiary zamordowane w Ligowie:

Kalinowska Jadwiga
Kalinowska Zofia
Bonkowska
Kisielewska Helena
Lewandowska Genowefa

2x

3

R e l a c j a

Gustawa olszewskiego zam. ostatnio w Gdańsku, zm. w listopadzie 1977 r. ps. Gracjan.

Olszewski był członkiem organizacji podziemnej najpierw przed Komendy Obrońców Polski t.j. od października 1939 r. a wkrótce Związku Walki Zbrojnej i po unifikacji Armii Krajowej na Pomorzu kryptonim "Rejs". Jako jeden z pierwszych organizował do akcji przeciw agresji hitlerowskiej i działał na terenie powiatu Lipnowskiego jako komendant obwodu Lipno krypt. "Postój". Pomimo tropienia go przez Niemców - szpicli i gestapo, szczęśliwie omijał zastawiane na niego sidła i przygotowywał zastawiane-na-niego nieustrudzenie kadry do nowej walki z Niemcami. Na terenie występował pod pseudonimami "Wojtek" i Bronicz". Obwód Lipno wchodził w skład inspektoratu Włocławek krypt. "Wyciek" /powiaty garnizon Lipno, Włocławek i Wieszawa/, a inspektorem był Olszewski, ps. "Andrzej", pochodzący z powiatu Wieszawa, z którym się do października 1942 r. "Wojtek" był w kontakcie konspiracyjnym.

G. Olszewski był jednym z pierwszych organizatorów biuletynu informacyjnego pod tytułem "Iskry", a który był kolportowany na terenie obwodu w ilości 200 egzemplarzy, odbijanych na powielaczu i wychodził pod egidą P.O.Z. /Polska Organizacja Zbrojna/, już pod koniec 1939 r.

Na terenie obwodu działały wszystkie komórki organizacyjne: sztab, wywiad, łączność, propaganda i delegatura Rządu. "Andrzej" był obecny na niektórych odprawach szefów obwodu i wyraził uznanie dla formy tego impulsu organizacyjnego.

Na początku listopada 1939 r. Komenda Główna wysłała na Pomorze majora Józefa Ratajczaka ps. "Karolczek" jako Komendanta Okręgu i majora Józefa Chylińskiego - Jankowskiego - ps. "Bolesław" jako szefa sztabu Okręgu. W październiku i listopadzie 1940 r. nastąpiły prawdopodobnie przypadkowe aresztowania, które objęły działaczy K.O.P., Grunwaldu i P.O.Z. Pierwszy komendant Okręgu Pomorze maj. Ratajczek został aresztowany w Warszawie; torturowany nie wydał nikogo, lecz po wywiezieniu go do Oświęcimia tam go zamordowano.

W tym czasie szef sztabu i zarazem zastępca komendanta Okręgu, występujący już pod ps. "Kamień" i "Rekin" zgłosił się z Torunia do Olszewskiego na punkt kontaktowy do Chełmicy i polecił zorganizować sobie przersut do Warszawy. Olszewski Olszewski zwrócił się w tej sprawie do Grafkowieza Zygmunta, ps. "Lis" Chudziński, komendanta placówki Z.W.Z. na ga. Cha- lin. Grafkowiez udał się do siostry swojej, Bartczak Kazimierzy, za. w Płocku-Radziwie. Mąż jej, Stanisław, pracował w elektrowni w Łowiczu jako monter elektryk. Dojeżdżał do pracy w każdy poniedziałek z kolegą swoim rowerem, a w soboty wracali do domu. Mieli przepustki graniczne wtedy jeszcze bez fotografii. Bartczak zgodził się przeprowadzić przez granicę przesłanego mu mężczyznę. Chyliński pojechał do Płocka furmanką konną, a z Płocka do Łowicza rowerem w kombinezonie i z torbą monter- ską do Łowicza. W trzech dniach był już w Warszawie, w Komendzie Głównej.

Po powrocie z Warszawy szef sztabu polecił Grafkowiezowi zmontowanie stałej linii przersutów przez teren powiatu Płockiego do Generalnej Guberni, bez kontaktowania się z organizacją Z.W.Z. na terenie powiatu Płockiego. Przez powiat płocki organizował przersuty /furmanką lub rowerami/ co 10 - 15 km. brat Grafkowieza, Józef, ps. Ebiegota przy pomocy syna b. dyrektora Szkoły Rolniczej w Niegłosach Mosakowskiego, który miał kolegów, b. absolwentów szkoły, na terenie powiatu. W Wyszogrodzie przewoźnik przewoził kódką przesłane osoby na drugą stronę Wisły, ukrywał w nadbrzeżnych krsakach wikliny badał teren, a dalej szli do wskazanej wis nadgranicznej /w niedzielę, lub święta, razem z ludźmi, idącymi na nabożeń- stwo, by po skończonym nabożeństwie udać się w odwrotnym kierunku już na terenie G.G.

Szef sztabu wezwał Olszewskiego na punkt we Włocławku i powierzył mu funkcję szefa łączności Okręgu z natychmiastowym objęciem tej czynności. Komendę obwodu Lipno Olszewski prze- kazał ppor. rez. Kopczyńskiemu.

Jako szef łączności Olszewski rozpoczął pracę od organizowa- nia placówek, legalizowania i wyrabiania dokumentów, tworze- nia punktów łączności i punktów kwaterowania. Jednym z bar- dze udanych sukcesów było zorganizowanie łączności bezpośred- niej z Włocławka do Warszawy i spowrotem, tak, że dwa razy w tygodniu odchodziły do K.G. szyfrowane raporty i meldunki a wracały tą drogą zarządzenia i rozkazy.

Na zlecenie szefa sztabu Olszewski zorganizował inspektorat Inowrocław z obwodami Wyrzysk, Szubin, oraz rejon Wąbrzeźno, Rypin, Brodnica.

Pod koniec 1941 r. został mianowany komendantem Okręgu Pomorze pułk. Rudolf Ostrychański ps. "Aureliusz". Zaraz po przybyciu z Warszawy pułk. Aureliusz wezwał szefa sztabu i szefa łączności na odprawę, która odbyła się w leśniczówce w pow. Rypin, cztery kilometry za Dobrzyniem nad Drwęcą. Omawiano tam sytuację polityczną, oraz warunki działalności konspiracyjnej. Szef sztabu zwrócił uwagę na to, aby nie stosować metod pracy, jakie się stosuje w G.G. gdyż naleciałość Niemców na Pomorzu jest tak wielka, że trzeba zachować wszelkie ostrożności, by nie zaważyć tego, co zostało zbudowane. W jakiś czas jednak po tej odprawie pułk. "Aureliusz" został aresztowany i przebywał przez krótki okres w więzieniu Toruńskim. Szef sztabu z Olszewskim organizowali oswobodzenie z więzienia, lecz zamiar ten spalił na panewce, ponieważ Niemcy pułk. Ostrychańskiego wywieźli do Stutthofu, gdzie przebywał aż do zakończenia okupacji.

Po aresztowaniu pułk. Ostrychańskiego obowiązki Komendanta Okręgu przejął dypl. pułk. Jan Pałubicki ps. "Piorun", który na tym stanowisku utrzymał się aż do wyzwolenia. Szef sztabu polecił Olszewskiemu zaopiekować się K.O. ułokować go w warunkach maksymalnego bezpieczeństwa. To też Olszewski przerzucił pułk. "Pioruna" z Bydgoszczy do Kowala, gdzie został zaopatrzony w dokumenty na nazwisko Gradowskiego i formalnie przez arbeitsant zatrudniony w majątku za Chodczem /nazwy nie zapamiętano, ale było to u administratora majątku Turno./ Dla ludzi tamtejszych puściliśny fałsz, że jest to ukrywający się ksiądz.

Każdego miesiąca Olszewski dojeżdżał do pułkownika ze sprawozdaniem i po rozkazy.

W międzyczasie zorganizował Olszewski punkt kwaterunkowy w Mlewie powiat Wąbrzeźno, gdzie przez długi czas czynny był zgrupowany sztab Okręgu, a więc ściśle: szef sztabu, szef wywiadu, szef łączności, ze stałym prawie kontaktem do pułk. Pałubickiego i spowrotem. Punkt ten był w gospodarstwie rolnym u właścicieli Dojewskich, a tak zwana ścisła trójka mogła spokojnie pracować nad szyframi, które rozehodziły się do inspektorów, obejmując wszystkie placówki Pomorza. Na punkcie tym był radioaparat, jak również maszyna do pisania i na wszelki wypadek wszyscy byli uzbrojeni w krótką broń palną.

Z szefem sztabu Olszewski prawie się nie rozstawał, odbywali razem wędrowki inspekcyjne po całym Pomorzu kolejami, rowerami, końmi i pieszo. Było czasem trochę przygód podczas legitymowania przez żandarmerię, ale kończyło się przeważnie pomyślnie, gdyż ich na dłużej nie zatrzymywano.

✓ Zastępcą Olszewskiego był por. rez. Henryk Grucwaacker ps. "Michał" "Marta", syn senatora spod Radziejowa. Był dzielny działacz konspiracyjny i obowiązkowy.

✓ Na początku 1942 r. Olszewski "Andrzej" został mianowany kometendantem podokręgu Zachodniego, dokumenty otrzymał na nazwisko Zdanowicz Jan i został skierowany do Gdyni. Wtedy inspektorat Włocławek objął kpt. Krysiak, a delegatem Rządu został maj. Florian Sokołowski. Inspektorem natomiast Inowrocławia mianowane por. Koczyńskiego /pow. Inowrocław, Wyrzask i Szubin/ W tym czasie Olszewski występował pod nazwiskiem pseudonimem Gracjan, który to pseudonim został mu nadany przez szefa sztabu, a dokumenty legitymujące były na nazwisko na zmianę raz Stanisław Orłowski to znów Jan Wronski.

Na terenie Okręgu Olszewski zorganizował pięć punktów zapatrzywania członków sztabu w dokumenty, jeden z najleprzych był w Kowalu, drugi w Fabiankach, trzeci w Lipnie, czwarty w Osówe, piąty we Włocławku. We Włocławku znajdował się również konspiracyjny fotograf, który robił zdjęcia według wymogów hitlerowskich. Był to kulawy mężczyzna syn jakiegoś profesora - nazwiska nie zapamiętano.

Z.W.Z. w lutym 1942 r. zmienił nazwę na Armię Krajową. Na Pomorzu używano również nazwy "Polska Armia Krajowa".

Olszewski unifikował naterenie Inspektoratów: Inowrocław, Włocławek i oddział Rypin, gdzie były dość liczne grupy wojskowe: Polska Organizacja Zbrojna, Polska Organizacja Wojskowa i różne drobne. Olszewski był w kontakcie z Andrzejem, z którym na zlecenie komendanta Okręgu przygotowywał unifikację Gryfa Pomorskiego" Jedno ze spotkań odbyło się w Przedkowie za Kartuzami z pułk. ks.

✓ Wryezą.

✓ Ppor. Alojzy Bruski ps. Grab był komendantem oddziałów partyzanckich A.K. w Borach Tuchelskich i występował pod krypt. "Swierki" Oddziały te nie były liczne, od 20 do 30 ludzi, ale uzbrojone i aktywne. Grab dość często przybywał na punkt K.O. Bydgoszcz lub Olszewski docierał na krótkie spotkania do Dziemian lub do Luban.

W lasach Starogardzkich, Kościerskich i Chojnickich również operowały naje grupy partyzanckie, a były pod komendą, zdaje się kpt. Szalerskiego, który występował pod krypt. "Szysaki". Grupy te bojowe wywodziły się z Pomorskiego Gryfa lecz uchłonięto je do A.K. Podczas czesania lasów przez Niemców stoczono zaciętą bitwę pod Lubianą koło Kościerzyny. Poległo tam kilku partyzantów, ale dowódca Uberfahlekomando przed swoimi ludźmi wyraził podziw dla bohaterstwa poległych.

Bitwa znów pod Koleczkowem pod komendą ppor. Liperta, bohatersko stoczona z Niemcami, gdzie zginęło kilkunastu ludzi, była przykładem dzielności żołnierskiej i zadanych strat Niemcom.

Akcja dywersyjna w czerwcu 1942 r. na linii kolejowej Chojnice-Tczew była zorganizowana przez kpt. Lesikowskiego ps. Las i kpt. Szalewskiego ps. Sobol. Miał to być zamach na przejeżdżającego Hitlera z Berlina do Kętrzyna, więc dlatego zorganizowano trzy grupy dywersyjne, które spowodowały wykolejenie trzech pociągów w pobliżu stacji Rytok, stacji Czarna Woda i stacji Kaliska. Według informacji świadków zginęło około 300 Niemców, jedzących na front wschodni, oraz zniszczono dźwż sprzęt wojenny i amunicję w bardzo wysokich wartościach.

Olszewski wraz ze swoim pomocnikiem /Michał/ Gröschacherem unifikowali wszystkie organizacje na Pomorzu Północnym wraz z młodzieżowymi grupami jak Tajny Klub Harcerstwa Polskiego, a po śmierci kpt. "Andrzeja" który został aresztowany przez gestapo i w czasie transportu zażył truciznę, gestapowcy po przewiezieniu go do Gestapo znasakrowali konającego, tak, że pozostała tylko masa ludzkiego ciała.

Na rozkaz pułk. Pałubickiego został zlikwidowany Słowikowski, występujący pod pseudonimem Biały Grot - konfident Gestapo.

We Włocławku i Inowrocławiu zlikwidowano po dwóch konfidentów, wywodzących się z rodzin niemieckich, a bardzo szkodliwych dla Polaków. Zeszali oni otruci po zapaleniu zatrutych papierosów. Akcję tą przygotował Olszewski, a wykonawczynią była Włocławianka ps. Lila, nazwiska której nie zapamiętano, lecz była ona ekspedientką u jednego z tych Niemców w sklepie, przy ul. Kościuszki Sklep ten był z galanterią żelazną.

Mj. Józef Gruss ps. Józef, szef wywiadu osiągnął duże sukcesy w swej trudnej pracy. Dużo cennych danych było przekazanych do Anglii. Był zwyczaj, że przy-~~opracowywaniu~~ sposobności szefowie

K.O. wspomagali się i pomagali sobie wzajemnie, tu w tym wypadku Olszewski miał wejście do O.K. VIII w Toruniu i z tamąd przez siebie zorganizowanego mundurowca Wehrmachtu otrzymywał telegrafowane rozkazy i ważniejsze dokumenty. Również Olszewski w Gdyni wszedł w kontakt z oficerem marynarki wojennej ^{anglijskim} angielskim Sadowskim od którego otrzymywał plany pól minowych Kałęgo i Dużego portu Bałtyku. Plany te zostały przekazane do Anglii, a prawdopodobnie pola te przestały istnieć.

Major Gruss w sprawie V - 2 otrzymał meldunek od t.zw. należącego majora, że na jednej z wysp Swinoujścia wyrabia się część do tych rakiet. Wiadomość ta została przesłana do Anglii, lecz podobno nie uwierzone w prawdziwość tej relacji, jednak po otrzymaniu dokładnych opisów tych wyrobów Anglicy teren ten zbombardowali.

Olszewski był ruchliwy i aktywny. Szefem łączności był do dnia 20.01.1944 r. t.j. do chwili aresztowania go przez Gestapo. Wtedy jego zastępcą por. Marta został mianowany szefem łączności, lecz pełnił tę funkcję tylko do lipca 1944 r. Zatrzymany przez patrol żandarmerii we wsi Makówiec pow. Lipno z bronią w ręku. Zginął w nierównej walce.

W Gestapo Olszewski był strasznie torturowany, lecz nie wydał nikogo, a Gestapowcy z Włocławka wynieśli wiadomość, że jeszcze takiego "presidenta" nie mieli. O postawie Olszewskiego we Włocławku i Łodzi mogą udzielić informacji: Helena Orast Olsztyn, Irena Spryńska Warszawa, Olga Olszewska, Gdańsk i mjr. Florian Sokołowski Bydgoszcz.

W dniu 18. 01. 1945 r. na dziedzińcu więzienia na ^{ml.} Saterlinga w Łodzi Olszewski został wywołany w grupie 17 innych, zawiązane im białe chusteczki na czole i ustawione pod trzyramienną szubienicą na oczach zebranych na tym dziedzińcu prawie 800 współwięźniów. Pod szubienicą tą wywołani stali przeszło dwie godziny, a grupa gestapowców naradzała się co mają uczynić. Wszyscy więźniowie byli obstawieni karabinami maszynowymi i ręcznymi. Łódź w przeddzień była bombardowana przez samoloty Armii Radzieckiej. Komendant więzienia Werner uciekł i dlatego gestapowcy zlekli się o własne życie, a więźniowie zostali uratowani od powieszenia. Na drugi dzień w nocy ruszyli transportem pieszym w kierunku na Pabianice i dalej mieli dojść aż do Wrocławia. Jednak tej samej nocy Olszewski z komunistą Janiakiem uciekli z tego transportu.

Z rękopisu relacji Olszewskiego Gustawa przepisał:

/ / Z Grefkowiez.

IV / 1. Korespondencja z Elżbietą Zawacką:

1. List z Grefkowiace z 25.02.1979 w sprawie relacji i Sawickiej ps. "Mirasi" - rękopis oryg.

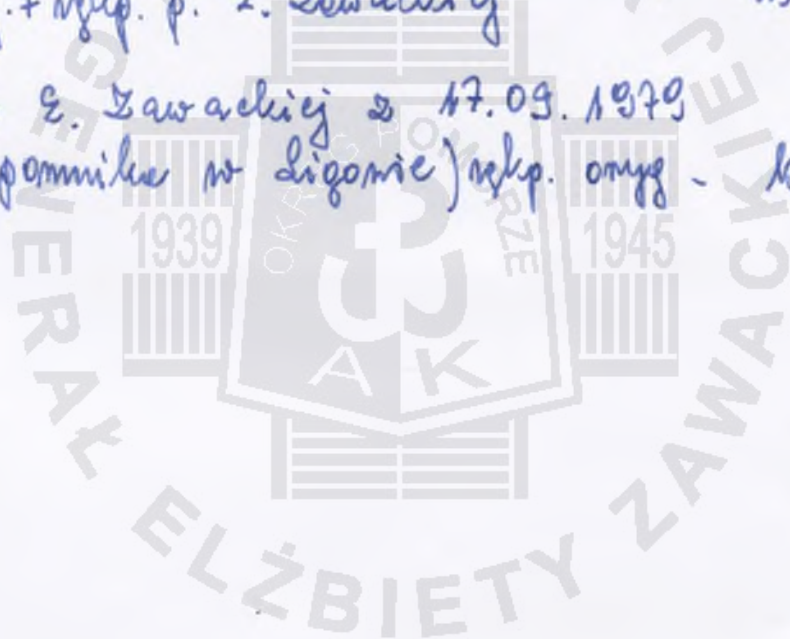
lc. 1 s. 1-2

2. List z Grefkowiace z 26.08.1979 (z notatką p. E. Zawackiej) w sprawie Szalowskiej Henryki, pomordowanej w Ligowie, niemiecki oficer angielski, rękopis, oryg. + rękop. p. E. Zawackiej

lc. 1 s. 3

3. List do E. Zawackiej z 17.09.1979 (zdjęcie pomnika w Ligowie) rękop. oryg.

lc. 1 s. 4



Amsterd., 25. II. 1945. ¹

Janovus Pami!

Preprassem, ze sek pojmo pre-
tytomu relacijo k svojemu mnenju
neobhovanu obzre, piser premo
2 dygochnic me docivata do
nas poesta.

Relacijo hidrostrojnega zidu.
14. II. obzurnem obzr, tj. 20. II.

Verujmo, jernice na dotreje
o utodhovanju k Cipricanti

h. Chalmroy. W-g. volseji

AM V hidrostrojnega Levicha po
Olliva? byta agentke Gestapo.

Byt na nis vyrok mnenja me
vykonany, f. dy? byta s trecois
piser Gestapo. Vykoname
vyrokni magto byta dole-

1
nane po zacholeniu opie-
kuna, co z kolei przysigato
28 1969, umiye przyrzajimiey
10. ciu Polakow

Wnawozu wybraciu sie do
Cieplic przy obrotu odie-
dzimiy K. Jemiy

1939 1945
Generał ELŻBIETY ZAWACKIEJ
Pomocnik
K. Jemiy

Chudzewa, dnia 26 sierpnia 1979 r.

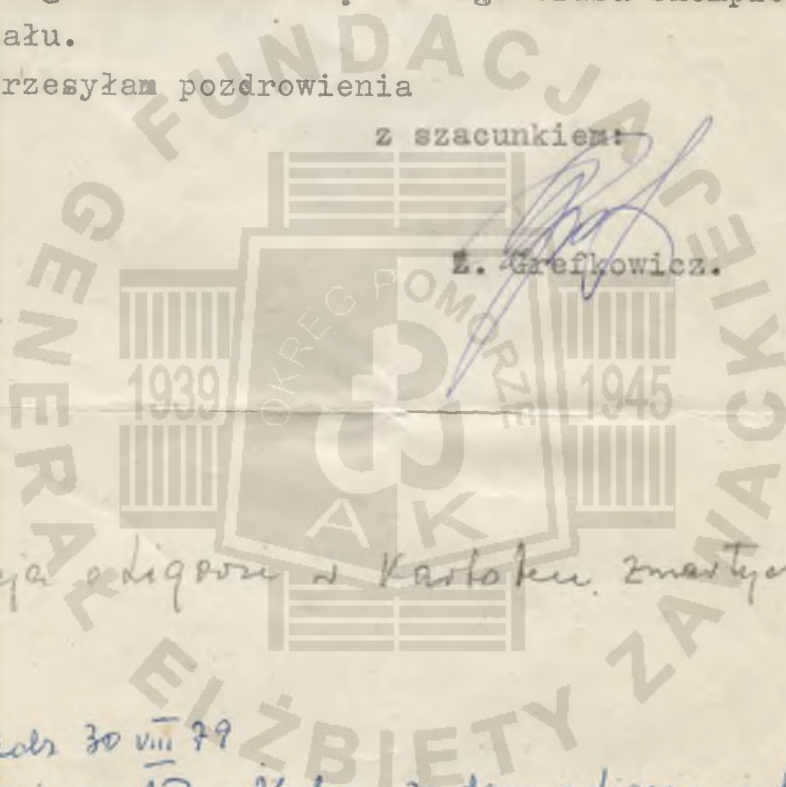
Szanowna Pani!

Przesyłam w załączeniu relacje o Złakowskiej Henryce oraz o pomordowanych w Ligowie. Byłem u p. Krzywkowskiej w Włocławku w sprawie ucieczki oficera angielskiego. Dom był zamknięty. U p. Kuskowskiej w Cypriance był jej dobry znajomy b. więzień Stutthofu p. Ogrodowicz Jerzy z Chełmicy. Odmówiła jakichkolwiek wyjaśnień. Wybieram się do niej, brak mi w tej chwili jakiegokolwiek środka lokomocji, ponadto żona była w szpitalu, a i obecnie nie jest zdrowa, muszę siedzieć w domu. We wrześniu wybieram się do Zbyszka Klubińskiego. Postaram się do tego czasu skompletować resztę materiału.

Przesyłam pozdrowienia

z szacunkiem:

E. Grefkowicz.



Relacja o ligowcu w Kartaku. Zmarłych (na waru)

Odpowiedz 30 VIII 79

Dziękuję za list z 26 km, za dane o ligowcu i bardzo dobrą relację p. Hanki, Złakowskiej-Tomaszewskiej (prócz i jej podryskowej, dobrej)

Bardziej dobrze - tak składowej - pomocy
Proszę również uprzejmie pozdrowić ode mnie p. Michalskiego (był już m. in. u mnie u p. Wojcickiej Zubińskiej, Kwaryn Michała, Henryka Gracza - machy, nefe tajemnic po Gracjanie). Gdyby ^{nie było} ~~nie było~~ dane zebrane w Kibitkach z wstępu opatem, umiemy ich relacje w Archiwum historycznym historii PAK z podaniem autorstwa zbioru informacji (najchętniej widzę tam ^{materiały} ~~opracowanie~~ ^{odpowiedzialność} ~~opracowanie~~ ^{zaspokojenie w 2001?}), ze które autor biura

Zyczą zdrowia Małgosi i Panu, jeszcze raz dziękuję

na stronie
półprawy
z listem
Kulparter
prawy

IV / 2. Korespondencja z Gustawem
Obszewskimi:

1. List do G. Obszewskiego z 15. 10. 1975
w sprawie osiedlenia i Witoldzie
Galeskiego, rękopis oryg.

k. 1 s. 1-2



Kanovní Pane Pusté!

Attam de Pane prosíte, aby našim spolkem
mošit mi Pan, se more mi do r. 1875 a moje
pracy v L. W. L. Masnie takie rasiradecne jest
mi v tej chvili potrebne do P. B. D. W. i D. i prosie
bevoho o neolestame mi v mojih najhrotych
crane. Prosie rovnies o krotke cherektovs byky
mojej obiatnosar a nadmienieniem, se v Masie
v evisthu a tym ostatem avestovany, avie
se evolnogo a evolnogo po moim avestovaniu ne
vydatem. Pan prosie v tym crane byt v Crutvie.

AMV

od Leva nasledne spravou. Witold Polaku
a krasne mi stevony zavaz, se mi ustaviť
do L. W. L. a K. Povodyvat se na mne
za mojim striedaním, se byt v crutvie.
pryvorit do mne hovaspodenej, alle Pana,
jako komendantu paristovego. Avsedovano
mi, se mimo to mozt byt v prymyryny
odporiadaten, se to jest niegrolne a
podstevnyim rasolami hovaspodenej, to
pryvorit hovaspodenej do komendantu
paristovego; basta mi pavienno by
osobie niegrolnovej. Vile Pan more
pryvorit rovnies o papraci jeho spravou.

W listopochie vybraveni se do Polaniske
do evisti, avyricie odricke Paristev

2
Jak edycje k. Panu? przesłane
produkcje alle matrici i resome licen:
Preston



T: M-12/621 Pom.

Lipno

Grętkowicz Zygmunt

v. Party informacyjne

l. 18

M-393

Lipno 1

Groblewice Zyppunt
był komendantem placu w Groblewicach,
mieszkał w Groblewicach w tym samym domu, w
którym mieszkał z domu Berentowice. Do domu
Groblewice przyjeżdżali: Chylini, Oleski, Michalski-
major z Ławicy
(z relacji sędziwy Berentowice)

msz.

12 m

Lipno

++ Graf kałwiż ~~o~~ dygnant
knielt plac, Chelmin ps ds, Chelminski
(rej?)
Lipnowski, ob. 2 W Z (Am de P O Z)
pocz. Gurska
1030 Komenda Chelmin ob. Lipno
nie punktowa Komenda Chelmin plac, Chelmin
dost. 1945, kładz. 2000 wvento-
rany - photo 40 kmln
Szilarski, d. 1945
- (Wakacje G. Oborskiego - plik. oświadczenia -
zawieszki w oświadczeniu świątku G. Oborskiego dla G. G. G. G.)

GREFKOWICZ

(13) AK

LIPNO

† GREFKOWICZ ZYGMUNT

3

ur. 31.01.1908

o. Franciszek Jacek
m. Franciszek

"lis"
"Chuchriński"

1939

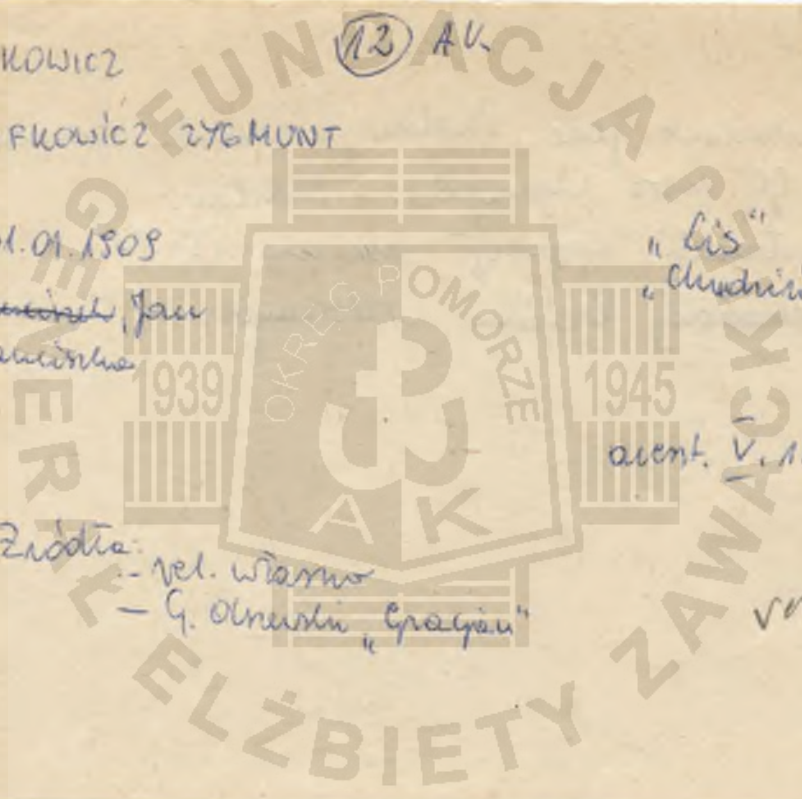
1945

agent. V. 1943/

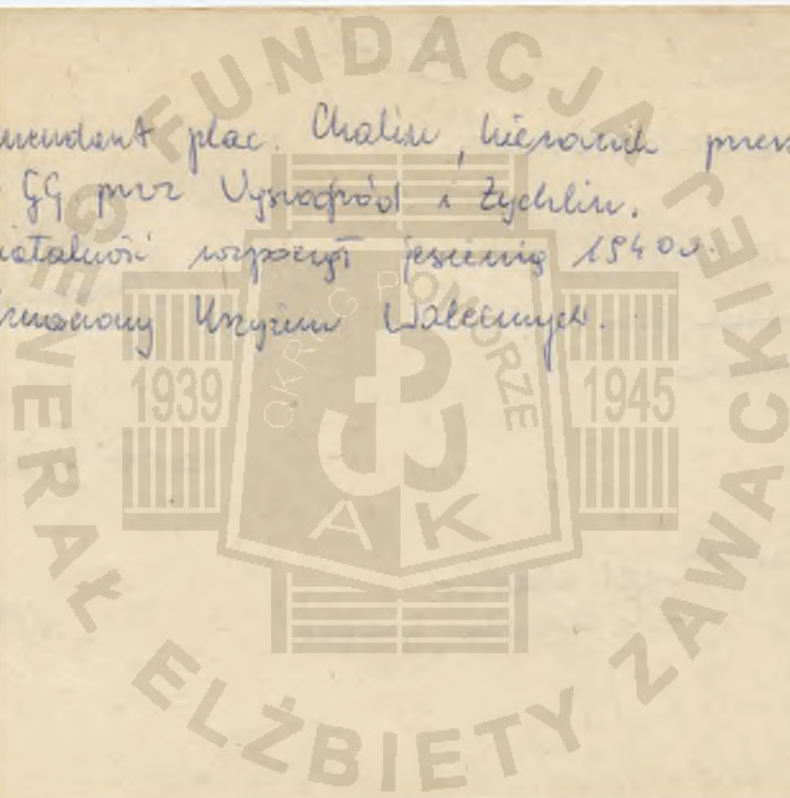
Zadania:
- vel. wiano
- G. Oluski "Czapka"

vorte

A.M.



Womendat plac. Chalim, kierownik przesłać
do GG przez Ustroń i Żychlin.
Dziękuję za wyjazd jesienią 1940.
Odruczyli Władysław Walecny.



12, m. Lipno 4
Grefkowskiej Zygmunta
sel. Olak Ludwika 379 P
Grefkowskiej wspomina w art. "Kuraken"
ze Olak Ludwika współpracowała
z H. K. / OK. 84

t

rod. 12. M. Pona

Lipno

5

++ Grefkowiec Zygmunt
inf. z rel. Lucyny Augustowskiej z domu
Baranowskiej (216 P)
Grefkowiec Zygmunt zamieszkały w Chudoko-
wie, komendant Placówki Z.W.Z. na gruncie
Chałim, odbierał przesyłki od Lucyny Augu-
stowskiej I. 1941

Taki świadectwo dopisał do relacji Lucyny
Augustowskiej 1977 r.

DK
84

ul. 12 m

Lipno

Greskowiński Zygmunt
ul. Sabinij Prackiej (275 P)

Greskowiński Zygmunt był komendantem
placówki 26.2 na gruncie Chalin i odbi-
łat przysięgę od Prackiej / SK 84
w marcu 1941 r.

+

12 m

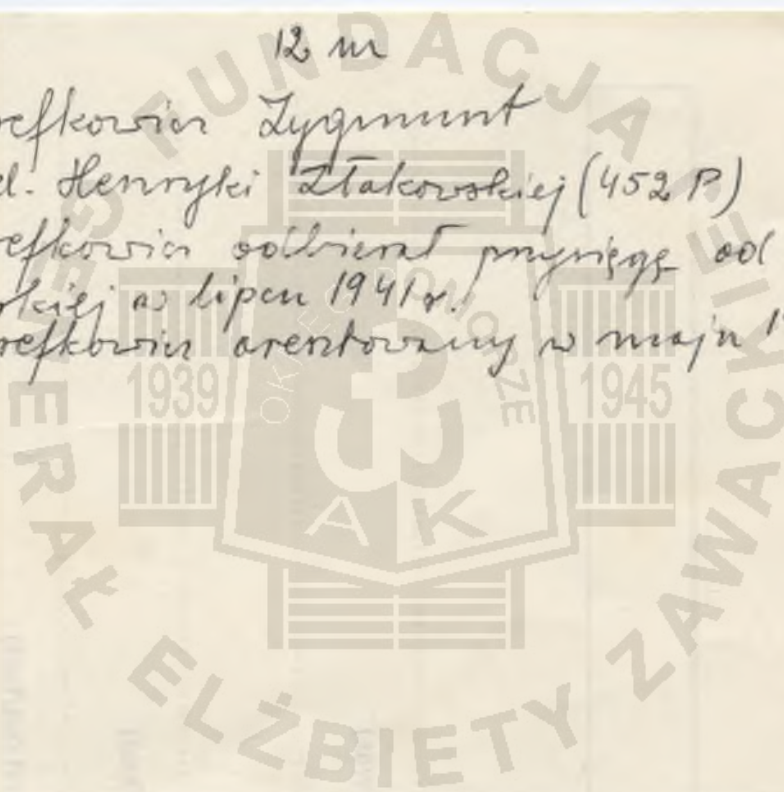
Lipno

7

Grefkorsin Tygmunst
vel. Henryki Złakowskiej (452 P)

1) Grefkorsin oddział przyjeżdża do Złakowskiej w lipcu 1941 r.

2) Grefkorsin aresztowany w maju 1943/ok 84



Ob. Lipno
DK

8

Greflowicz Zyporunt
Kniak plac. 242 DK Chalin do 5^{VI} 1943r.
(do orientowania). Zoiyb przyjpp 4^X 1940r.

Zrodlo: Rel. Greflowicz Maria K-393 148p.
Wobocawce

107.

WŁOCTAWEK
OBW. LIPNO

9

GREFKOWICZ ZYGMUNT

z rel. Lucyny Baranowskiej ^{zamiary} z ot. Augustowickiej

Komendant AK na gm. Chalin. Proszę przysłać
i wprowadzić do AK Lucynę Augustowską (Baranowską)
oraz Henrykę Szalowską
(rel. d. Sompustowska)

A.M.

ГРЕФКОВИЧ ЗЫГМУНТ - пс. "Чудринский"
 "Ли's"
 з. нел. Личный Августовский

дат. алектанция Грешорич.
 Wpadko muselo byt' v Shypem, bylko zheniti se
 Shypego za porino dobet do Chudceny, aley para-
 dani Greshorich. Zaudaricis byto pirono sh
 Greshorich ni zashit' v domu. byt' v Lemu William
 mo tw. "porky may" u emarico vy- L. P. byta tem
 rarnis. Zaudarim go zashiti, ale porobly i inny ob-
 cidzitsy go mstenat zqubit' go dootra postnyprone
 vpruznawje pwez syrodnie. Tomicvi byt' uiciv, msa-
 go mi spobdnyti.

A.P.

22

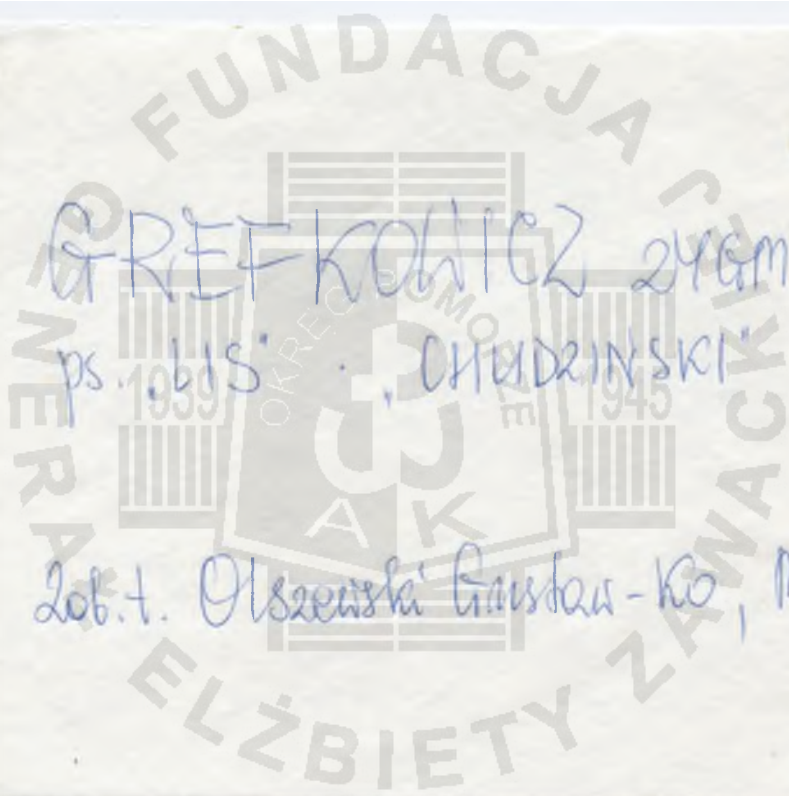
LIDRO
CHALIN
AK 11

REFKOWICZ ZYGMUNT

ps. '1939' · 'CHUDZINSKI'

Lab. t. Olszanski Garska-Ko, m-4

8/21/94



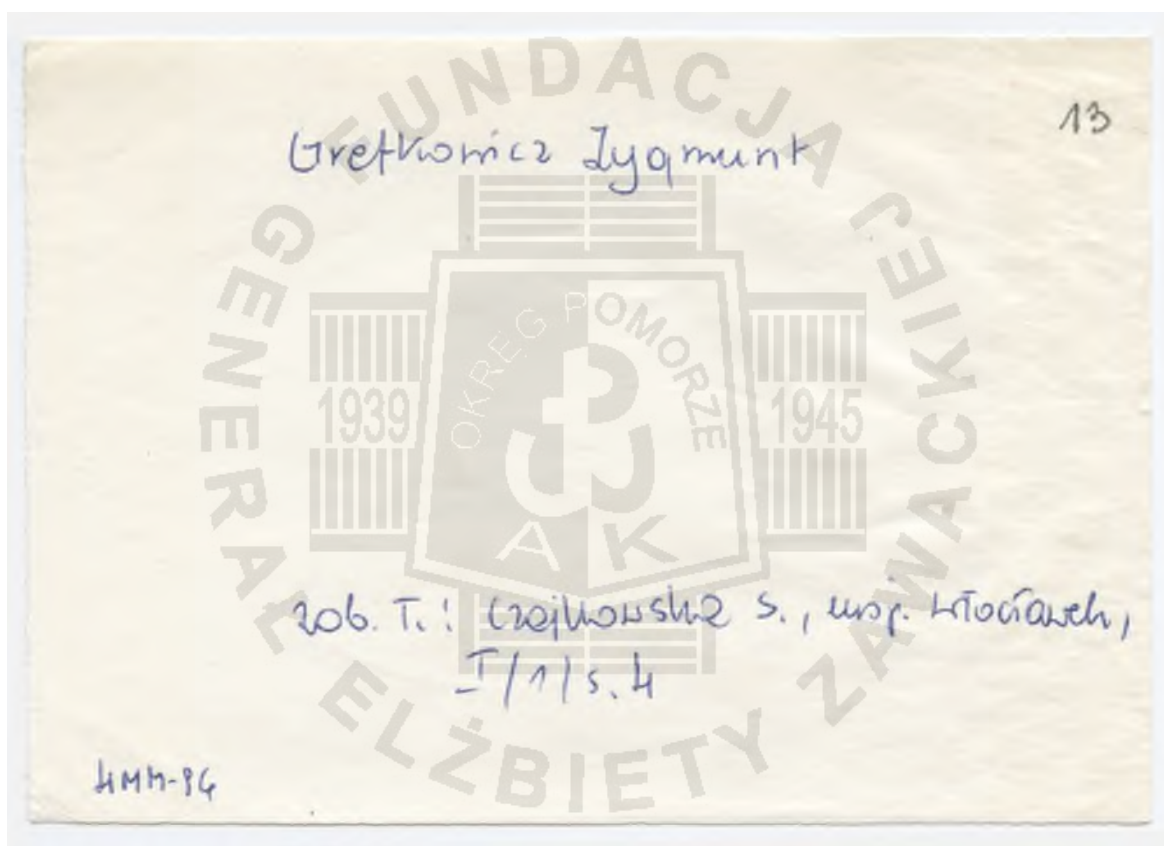
Włodawa
AK 12

Grefkomicz

Komendant gminy Chalin.

20b. T. i. Augustynowa k., ungr. Włodawa,
I/1/s. 4

HMM-pi



Gretkonicz Zygmunt

13

Zob. T. I: Grotkowski S., wsp. Ktoś tam,
- I / 1 / s. 4

hmm-96

a

AK
Lipno 14

GREFKOWICZ Zygmunt
ps. „Lis”

Urodz. 31. I. 1909 r. o Chudekure, pow. Lipno
Przybroskie leżarisko „Chudekure”.

Arrest plac. Chalin, Obw. Lipno AK
Przesłany do wreszcu 1944 r., obóz Stult-
hof. Przeżył.

Żeb. Stowick. Biogr. Doup. Dol. t. 2, s. 71
Fundacja Archiwum Polowickie AK
Joni, 1996 r.

uRen/2002

a

Grefkowiec Zygmunt

Wrocław
Plk
15

adres w 1978 r.:

Chudzewa
87-606 Chelim

zob. T: W: 392/392 Pom. Górnictwa
Remise (z. T/1) - Wrocław
(jest biogram
cz. 2

zob. T, 103

Grefkowiec Zygmunt
nr. 31.01.1909 Chudzewo
pow. Lipno, zam. Chudzewo
areszt. 5.05.1943 przez gestapo
Grudziądz w KL Stutthof
22.05.1943 - ~~nr oboz. 45~~
s. Jane i Maria z d. Pracko
zob. Witomska Elżbieta, opr. B/152
s. 86 = bibl. FIAPAK

Lipno
302-AK
16

Wz. 10110

† Grefkowicz Zygmunt

Lipno
Dzięk 12

Grefkowicz Zygmunt - członek POZ - AK rejonu Dobrzyń n/V
med. Wisła 5.96

zob. Witomska Elżbieta, opr. 3/152,
5.96

W 10'10

Grefkowiak Zygmunt

Sipmo
POZ-RK 18

rob. Ziobrowski B., Polska
Podsiemna na Kujawach...,
Torun 2008, s. 205, 286, 288, 489,
537.

slp. x1'14



syn: Grefkowicz Kazimierz
87-603 Czarne gm. Wielgole

woj. Włocławek

++ M-12

AK-Lipno

Grefkowicz Zygm.

Grefkowicz Zygmunt

